

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY: w Wilnie		REDAKCJA i ADMINISTRACJA	CENY OGŁOSZEŃ;
Rocznie - - - - -	6.	Ś. Jerska 15 m. 26	Przed tekstem za wiersz petitu - - - 50 k
Półrocznie - - - - -	3.	Otwarte codziennie prócz świąt od	W tekście (nadesłane) - - - - - 1 rb
Kwartalnie - - - - -	1.50	godziny 11 do 3 i od 5 do 7.	Po tekście - - - - - 20 k
Miesięcznie - - - - -	50	Skrzynka pocztowa № 52	
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu			Numer pojedynczy 15 kop.
Rocznie - - - - -	7.—		
Półrocznie - - - - -	3.50		
Kwartalnie - - - - -	1.75		
Miesięcznie - - - - -	60		

Na fałszywych torach.

Jeśli wmyślimy się głęboko w dzieje ludzkości i poszczególnych ludów, przyjdziemy do wniosku, że wydrzwiane przez materialistów, a odczuwane przez niektórych historyków, t. zw. „posłannictwo“ pewnych narodów jest zjawiskiem zupełnie realnem. Jakże łatwo np. dostrzec misję kulturalną narodu francuskiego, angielskiego, włoskiego. Mimo najzmienniejsze okoliczności, mimo chwilowe wahania, powracają one od wieków konsekwentnie na własne, określone tory i broniąc swego odrębnego „ja“, instynktownie stają się rzecznikami pewnych idei ogólnoludzkich, rzekłbyś w szczególną pieczę im właśnie oddanych.

Taką ideją ściśle polską, hasłem, które swym oslepiającym urokiem i mocą fatalistyczną ciągnęło Czarnieckiego do Danji, Sobieskiego pod Wiedeń, a ze świadomym tryumfem rozległo się dopiero na krwawych polach Grochowa i Ostrołki — był okrzyk: „za wolność waszą i naszą!“ Ten to okrzyk — jedyny w dziejach — opromienił jasną aureolą czoło powalanej Polski; on to nie pozwolił światu o niej zapomnieć — wyraził jej nieśmiertelną misję i niezastąpione stanowisko odrębne pośród wszystkich narodów.

Zdawałoby się, że w miarę coraz większego gnębienia i osłabiania Polski, w miarę spychania jej do szeregu ludów wydziedziczonych — idea ta winna by coraz jaśniejszym świecić blaskiem. Toć braćmi naszymi stali się wszyscy ciemniejsi, wszyscy, którym dzieje się niesprawiedliwość, którym żyć trudno wskutek panowania ponad prawem siły. Toć tryumf sprawiedliwości musi być naszym tryumfem, a tęsknoty nasze powinnyby zwracać się do chwili, w której nie będzie ludów gnębionych i gnębiących, ale braterstwo powszechne.

Tak sądził ten, co w Polsce Chrystusa narodów chciał widzieć.

Niestety, wiara ta sponiewierana dziś została i wydrwiona. Święty sztandar upadającej pod przemocą Polski złożono do lamusa, niby portret antenata gienjalnego pendzla starej szkoły, nie rozumiana przez spadkobiercę.

Rozległo się natomiast hasło egoizmu narodowego pospołu z przyziemną radą: „enrichissez vous“.

Jeżeli romantyzm polityczny nie dawał doraźnych zdobyczy praktycznych, to pamiętać trzeba, że wcale na nie obliczony nie był. Mierzył w daleką przyszłość i jej ryerczami nas czynił. Tymczasem zaś podnosił ducha narodowego i sprawił tyle, że gdziekolwiek krew się lała za wolność, gdziekolwiek sprawa słuszną opierała się przemocy — tam zawsze w pierwszych szeregach szli polacy i świat przyzwyczajał się już mierzyć czystość sztandarów naszą pod nimi służbą.

I wówczas to, wymazana z map politycznych, ignorowana przez dyplomatów — Polska żyła w sercu Europy.

Lecz przyszedł materializm, negujący czynniki moralne; przyszedł z receptami małych, powszednich zdobyczy „realnych“. Kazano nam wzorować się na czechach.

To, co u nas spełniłoby się dało, bez gromkich haseł, bez wielkich wysiłków idejowych, przystrojono niespodzianie w królewski płaszcz marzeń o odrodzeniu narodu. Praca organiczna, praca u podstaw, która też u podstaw winna była pozostać — znalazła się raptem u szczytu myśli polskiej. Zapomniano, że co stosowne było dla czechów, nam odpowiadać nie mogło.

Dobra czy zła jest kultura szlachecka — wszystko jedno. Ale, bądź co bądź, ona coś spełniła i w pewien specyficzny sposób urobiła ducha narodowego. Zaprzeczyć jej nie można, ani też niepodobna z przeszłości jej wymazać, ni odrobić. Psychika zaś szlachecka — oczywiście, nie w sensie ziemiańskim, ujawnianym przy kupowaniu nawozów sztucznych i biciu po mordzie parobków — wymaga szerokiego gestu, rozmachu. Nie wdroszyła się ona w groszowe „ziarno do ziarnka“, ale całą pełnią żyje tylko w porwach.

Gdy zapomniano o tem, gdy porywy te wykleto — cóż się okazuje? Oto, nie staliśmy się ani czechami, ani lotyszami, ani finnami, ani żadnym innym odradzającym się ludem chłopskim; a natomiast przestaliśmy być polakami — polakami Lelewelów, Worcelów, emigracji. Weszliśmy na drogę, psy-

chce naszej obcą; a kogóż w najlepszym razie ujrze-
liśmy na niej?

Wokulskiego.

Przedstawiciel niby już najbardziej skondenso-
wanej „idei“ pracy organicznej, pozytywizmu—okazał
się w rezultacie marzycielem, romantykiem, choć
mu, zamiast szabli, w garść wetknięto cyrkiel.

Cała ta ideologia merkantylizmu, egoizmu spro-
wadziła myśl polską na manowce, po których błą-
dzimy, zbierając zatrute owoce. Dziś właśnie ich
kosztujemy. I cóż dała nam osławiona deklaracja
Koła Polskiego w I-szej Dumie? Ta deklaracja, w któ-
rej jawnie i świadomie odrzucono dawne hasło, da-
wne stanowisko Polski, jako bojownicy wolności lu-
dów? Co dało nam opieranie aspiracji naszych na
papierowych wiedeńskich traktatach i wyrzeczenie się
solidarności z ludami i warstwami ciemniejszymi?

Nic.

A mimo to, Koło wierne było tej polityce przez
cały czas trwania 3-ch Dum rosyjskich; teje polityce
wierne było i Koło w Wiedniu, łaszące się stale moż-
nym, a wyodrębniające wciąż polski interes, od in-
teresów innych ludów uciskanych.

W rezultacie „egoizm narodowy“—przez jednych
odczuwany tylko, przez innych wnoszony jako sztand-
ar—na bliską metę nie okazał się od romantyzmu
skuteczniejszy. Natomiast zaprzepaścił nasze odrębne
w dziejach stanowisko, poderwał sympatję, jaką cie-
szyliśmy się w rodzinie ludów cywilizowanych i wy-
korzenił z umysłów naszych aspiracje szerokie, w dal
mierzące, odebrał chęć do porywów, do marzeń o jas-
nej przyszłości.

Oparcie polityki już nawet nie na sile (które
faktycznie, wedle miary wrogów naszych, nieposia-
damy), ale na jej fikcji realnie przynieść mogło tylko
straty i zawody — w pierwszym rzędzie moralne,
w drugim — praktyczne.

Dziś nie tylko mocni rachować się z nami prze-
stali, ale również słabi, o jutro ludzkości walczący,
imię Polski wspominają z niechęcią. Oskarżamy o to
nacjonalizm najbliższych naszych sąsiadów, winimy
doktrynerstwo demokracji, niechętną szlacheckim
tradycjom. Lecz nie dostrzegamy własnych grzechów,
które przyczyniły się do upadku dawnego naszego
stanowiska.

W szeregu represji, któremi dziś w Rosji broni
się reakcja, środki przeciw polakom często wybiegają
poza linię, stosowaną do pozostałych „inorodców“.
Juści, jako dla mocniejszych, trzeba też tęszych ka-
gańców. Lecz nie tylko to jest przyczyną. Nam nie
wierzą. Podobnie, jak ciemieni lękają się, byśmy
ich nie sprzedali za byle ochłap, tak też i mocni
szczeroci naszej nie ufają, w przekonaniu, że w każ-
dej okoliczności kryjemy własne tylko cele, niezgo-
dne najczęściej ani z postulatami rządu, ani opo-
zycji, nie mające kontaktu ze zmagającymi się ideja-
mi ludzkości.

Ta właśnie bezidejowość, to opieranie bytu
i rozwoju na dyplomacji, targach lub łaskach—mści
się na nas nie tylko w Rosji; mści się obecnie rów-
nież w Austrii. Staliśmy tam wytrwale przy tronie za
ochłapy swobód, dawaliśmy poparcie koronie, prze-
ciwstawiając się radykalizmowi społecznemu i żąda-
niom ludów słabszych, uciskanych.

Aż przyszły czas ustępstw, czas konieczny, któ-
rego nadejście można było i trzeba było zgóry prze-
widywać. Na rozkaz Habsburga Koło głosowało za
reformą wyborczą, którą przedtem namiętnie zwal-
czało. Dziś jest niepotrzebne. Ludy młodsze przy-
chodzą do głosu. Więc odepchnięto nas na bok, od-
rzucono, jako narzędzie zużyte.

Austria chce się odmłodzić, chce przystosować
się do wymagań czasu. Do tego polaków jej nie po-
trzeba. Przeciwnie — zawadą tylko byby mogli.

Wygląda to na jakieś dziwne nieporozumienie.

Wszak przyszłość narodu naszego związana jest
z wolnością wszystkich ludów. Wszak tryumf spra-
wiedliwości—naszym odzyciem zewnętrznym być musi.

Tak! Odzyciem narodu, odzyciem idei polskiej—
ale nie odzyciem dzisiejszej polskiej polityki, tej po-
lityki bezwzględnej egoizmu, co odważa się wo-
łać: „Danie uniwersytetu rusinom — to krzywda po-
laków!...“

Do tego doszło. Interes Polski — tej Polski, co
padając walczyła jeszcze „za wolność waszą i naszą“—
sfanatyzowani bluźniercy ośmielają się przeciwsta-
wiać prawu odradzania się innego uciskanego na-
rodu.

Zawrócić trza, póki czas, bośmy na torach zupeł-
nie fałszywych. Miejsce nasze obok tych, co do

H. SCIPIO.

POCAŁUNEK.

Dokończenie.

Jest obojętna i dumna, zamarła i skamieniała
bez ustępstw na rzecz spółczesności i dlatego zape-
wne rzadka tylko krok turysty depce trawę sple-
kanych jej bruków. Łażą tam blade widma, zmęczo-
ne febrą drżącą wśród tych rozpaczliwych błotnistych
płaszczyn. Ciemno tam — jakby powietrze zasnu-
te było całunem. Żywi nie mają żadnego znaczenia ani
jakby wartości. Wszewładnie panują tam zmarli.

Ulice są ciche, drzemią na nich rude, kichające
od wilgoci koty. Stoją starożytne sarkofagi oparte
o czarne gmachy bezpieczeństwa, niby puste trumny ce-
zarów i bazyliiss. Lśnią czarowne, przyćmione wilgo-
cią i kurzem mozaiki-klejnoty wtłoczone ze wszystkich
ścian kościołów, pustych, zimnych, głuchych i za-
pełnionych jedynie korowodami świętych, dworzan
i cesarzków w hieratycznych pozach otaczających stro-

py i ściany świątyń. Wszystko zamarłe, martwe, gro-
bowe.

To miasto grobów, miasto sarkofagów i żałoby.
Czarny na horyzoncie las *la Pineta* nie szumi nigdy
nad letniami bagnami tłustego gruntu owego pobrze-
ża. Czarowny zapach bukszpanu przywodzi na myśl
cmentarze i śmierć.

Dawne, dawne śmierci, wielkie śmierci, straszli-
we umierania olbrzymów. Tu Byron marzył i ko-
chał wpatrzony w czarne oczy namiętnej Guiccioli,
tu skończył w zaświatowej wizji Dante, uniesiony
przez złociste duchy, towarzyszące mu przy pisaniu
il Paradiso. Tu rozaczała swą bajeczną potęgę, bo-
gactwo i władzę tajemnicza Teodora. awanturka na
tronie. Tu przez lat 25 rządziła bohaterka niezwykłych
losów Galia Placidia, kolejno niewolnica, cesarzowa,
zwyćskaw ygnanka, aż okryta, jak za życia, szytą per-
łami i klejnotami szatą, spoczęła w sarkofagu rzeź-
bionym, o szafirowem w złote gwiazdy wnętrzu, niby
drogocenny klejnot zawierającej kasoletki, aż w ty-
siąc przeszło lat nieostrożne dzieci spaliły jej mumję
pochodnią. Tu w olbrzymim grobie z monolitową
kopułą, z murami potwornymi jak forteca, spoczął
Teodoryk, kazawszy w złote i sadzone rubinami bla-

przyszłości dążą. Nasza droga jedyna—to droga postępu kultury, postępu myśli ludzkiej. Nie w chwilowych zakulisowych kombinacjach dyplomatycznych, nie w konszachtach z przemijającymi ministrami, nie w targach z mocarzami zbawienie. Zbawienie nasze w przekształconej, odrodzonej psychice narodów.

Ale, niestety, tam, gdzie właśnie w tym kierunku odbywa się praca—nas niema. Na kongresie narodów w Paryżu polaków prawie nie było. A gdy imię ich wspominano, to nietylko jako ciemionych, ale też w rzędzie ciemniejszych.

Gorzki owoc ideologii egoizmu narodowego.

*
**

O przyszłość Rapperswilu.

Hałasu wiele i smutku niemało wywołała tu t. zw. sprawa rapperswilska, to znaczy usiłowanie kilku ludzi do wymiecienia nieporządków w słabo kontrolowanej instytucji narodowej. Z kilku jednocześnie stron podjęto kroki publicystyczne w celu zwrócenia uwagi szerokiego ogółu na beznadziejny stan rzeczy, panujący w Muzeum. Stan ten dla całej myślącej i czującej Polski był oddawna tajemnicą Poliszynela. Ale trzeba było broszur, niezliczonej ilości artykułów dziennikarskich, wieców publicznych, aby zmusić zarząd Muzeum do podjęcia akcji sanacyjnej. Akcja ta znalazła wyraz w zaproszeniu kilkunastu (18) osób w celu zbadania zarzutów (z liczby zaproszonych przybyły tylko trzy osoby!). Komisja zbadła rzeczy na miejscu i orzekła—przeciwko oskarżycielom! Nie orzekła za oskarżonym, przeciwnie, wypowiedziała się przeciwko jego talentowi, jego kwalifikacjom fachowym. Orzeczenie komisji można nawet interpretować, jako *consilium abeundi*. Jednak kustosz, pan de Rosenwerth-Rużycki pozostał na miejscu. Nawet tej *swoistej* komisji orzeczenie okazało się bezsilnym wobec szkodliwej jednostki, która wywołała hałas rapperswilski, ośmieszyła nas i poniżyła wobec szwajcarów i świata, tylu

ludzi skrzywdziła, tyle smutków rozlała dokoła siebie.

Uciekł z Rapperswilu niegdyś Żeromski, uciekł Zygmunt Wasilewski (redaktor „Słowa Polskiego“), uciekł Wacław Karczewski (Marjan Jasińczyk): świadectwa tych ludzi obcych sobie pod względem wiary politycznej, często kłócących się ze sobą, były jednakże zgodne co do... osoby kustosa. Nie znaczył nic donośny głos niezapomnianego Henryka Bukowskiego, albo głosy znawców, takich, jak krakowskiego Kopery, albo warszawskiego Gembarzewskiego. Pan kustosz, któremu udowodniono po dziesięć razy, że fabrykuje starożytności polskie, albo nabywa je u agentów niemieckich—pozostał; zdobi gablotki rapperswilskie swojemi własnymi karabelami, a ściany miniaturami... swoich siostrzenic. Winnym jest tylko polski warchoł, który został odparty i—napiętnowany.

Teraz Stefan Żeromski, który jeden z pierwszych pracował umiejętnie i z całą miłością głęboko uspołecznionego serca nad uporządkowaniem archiwum, który obok Zygmunta Wasilewskiego był świadkiem *twórczej* roboty pana Rużyckiego, ogłosił cały traktat*), w którym dowodzi słuszności wszystkich zarzutów, którymi obciążył zarząd muzealny, jako oskarżyciel. *Są to dowody pierwszorzędnej wartości*, nie gołosłowne zapewnienia, które dla komisji mogły być niewystarczające, ale autentyczne listy Henryka Bukowskiego, listy Zygmunta Wasilewskiego, Ignacego Domagalskiego. W listach tych znajduje się więcej jeszcze zarzutów, niż ich zawiera rachunek Żeromskiego. Tych zarzutów jest potop. Udowodniono prawdomówność kustosa i innych jeszcze przed stawicieli narodowej cnoty i zasługi. Udowodniono, że komisja omyliła się, że jej orzeczenie powinno być przejrane i sprawdzone, że wypaść powinno było i wypadłoby zgola inaczej, gdyby dowody były już w sierpniu r. z. zebrane w tak przygniatającej liczbie, jak to udało się uczynić

*) Stefan Żeromski „O przyszłość Rapperswilu“. Towarzystwo Przyjaciół Rapperswilu. Udowodnienie zarzutów, poczynionych zarządowi muzealnemu. Nakładem wydawnictwa „Życie“. W Krakowie. Bez roku, str. 131.

chy zakuć swe ciało ostrogockie. I wszędzie na każdym kroku, pod krzewami róż, w dziedzińcach zarosłych puchem zielonej pleśni, na ulicach smutnych jak ruiny, w kościołach ogromnych, wśród lasu kolumn, wszędzie sarkofagi, wszędzie gdzie stąpasz, wstaje ci naprzeciw znikomy proch jakiś, często nieznanym już nikomu, a będący kiedyś powłoką, może piękną? duży może potężnej? Łaziłem tam w dzień tak dżdżysty, że kryształowe smugi wody zdawały się białe i gęste, a cała cicha, martwa Rawenna z za tej drgającej firanki zdała mi się miastem wizji, ujrzanem gdzieś w wodospadzie.

Napatrzywszy się aż do osłupienia, aż do tajemniczych zaświatowych dreszczów w olbrzymie, gorącą namiętnych intryg płonące oczy bazyliissy Teodory, wychylającej z mozaiki w kościele St. Vidal swą drobną głowę jadówitej zmił, ozdobioną przygniatającymi klejnotami, poszedłem do muzeum—akademii.

Kapały mi pod nogi, w srebrne kałuże płatki glicynji ociążałych od deszczu; w powietrzu pachniało pieprznie bukszpanem i młemi irysami, gnijąciami przy zepsutych fontannach.

W muzeum nie było nikogo, jak mi się zdawało. Jedyną rzeczą, która przykuła moją uwagę, był

grobowiec kondotiera raweńskiego z XVI w. Guidarello. Guidarelli zwał się ten człowiek walczący za życia, aż do takiego oto bezgranicznego zmęczenia, zawodu i smutku zastygłego na białych rysach tak boleśnie, że mi się zdało, iż to żywy człowiek przed chwilą skończył i legł w swej zbroi, wylawszy do ostatniej kropli krew na ziemię ojczyzną, żeby ją snadź użyźnił.

Ten rycerz był rzeczą najwymowniejszą, sprawą najbardziej żywą w Rawennie, patrzałem na niego jak na brata, jak na siebie samego... Zdawało mi się, że to moje zmęczenie—nie walka—alboż walczyłem kiedy? Może zbyt ulegałem właśnie każdej chęci i nie miałem już żadnej... Zdawało mi się, że gdyby mię ktoś zaklął w kamień, moje ja istotne, mój duchowy ekstrakt—to taki właśnie miałby wyraz rozczarowania. Pomyślcie, on walczył do ostatniego tchu o rzeczy wielkie, ważne, tak drogie mu i wartościowe, że aż dał za nie cały świat mieszczący się w jego życiu, wyrzekł się go dla cieniów śmierci... i dojrzał, że to na nic. Kto wie, może umierał z radością, z chwałą, z nadzieją ogromnej zasługi, czynu wspaniałego i oto nie znalazł nic... i był oto martwą bryłą marmuru, utworem fantazji artysty, niczem już, nie sobą... Mniej niż kwiatem, mniej niż wierszem, mniej niż

obecnie Żeromskiemu, i były ciału orzekającemu przedstawione. Żeromski mówi, że książkę swoją pisał „bez zemsty i nienawiści, lecz z wewnętrznym gniewem“. Z uczuciem krzywdy niczem nie naprawionej umierał dnia 26 listopada 1911 roku w Krakowie Waclaw Karczewski. Jeżeli członkowie komisji przeczytają książkę Żeromskiego, sami powinni chyba zażądać nowej sesji i rewizji orzeczenia.

Tę książkę przeczytać powinien każdy, komu droga jest historia narodowej krzywdy i narodowych ukochań, każdy, komu droga jest prawda.

Żeromski nie oskarża tylko, pragnie on budować. Wie, że źle się działo w Rapperswilu nie dlatego tylko, że przypadkowy kustosz instytucji szkodził, ale i dlatego, że nad tą instytucją nie było nigdy właściwej i poważnej kontroli. Pragnie tej kontroli, chce, aby naród wiedział o Rapperswilu, żeby się o dobro i rozwój Muzeum troszczył, żeby na nie łożył. Dlatego pod egidą Jeża powołuje do życia „Towarzystwo Przyjaciół Rapperswilu“. Życzyć należy, aby taka instytucja poważna, z poważnych i mądrych ludzi złożona, na serio zajęła się sprawą obudzenia Muzeum. Może wtedy podziwiać i marzyć będą w cudownie pięknym Rapperswilu, wśród relikwii, u podnóża kolumny barskiej — polacy i cudzoziemcy, i na zawsze zapomniane będą rapperswilskie błędy, grzechy, przewinienia, hałasy i smutki.

S. P.

Socjalizm utopijny i naukowy.

(Ciąg dalszy).

Staje przytem przed nami najżywotniejsza obecnie kwestja: kto właściwie ma być uważany w państwie za gospodarza? Do Wielkiej Rewolucji w końcu XVIII stul., pomimo sporów teoretycznych, widoczny był przedział pomiędzy tymi, co rządili, właściwymi gospodarzami, i pomiędzy ludnością rządzoną, poddaństwem. Państwo i inte-

res rządzących zlewały się w jedno, i były: państwo i poddaństwo. Rewolucja usiłowała zburzyć taki porządek i jako dogmat społeczny postawiła, że nie naród ma ulegać państwu, lecz przeciwnie państwo ma służyć interesom narodu. Lecz jak rozumieć państwo i naród?

Państwo, to przedewszystkiem terytorjum; naród — to ludność. Lecz jaki cel, jakie zadanie ma być tego państwa? Czy istotnie ludność państwową stanowi jeden naród?

Dawne państwo miało charakter militarny. Najważniejszym jego zadaniem była wojna. Było to najszlachetniejsze zajęcie. Panował stan wojenny, rycerski, szlachta. Monarcha był naczelnym wodzem. Militarny charakter państwa przejawiał się w zasadach rządzenia, w jego instytucjach. Wojny, zwycięstwa, zabór ziem — to chluba i interes korzystny dla państwa, to marzenia i pragnienia jego kierowników.

W biegu jednak dziejowym takie pojmowanie państwa ulega powolnej zmianie. Przyczynia się głównie do tego wydobywający się z poddaństwa stan trzeci. Pochodzenia gminnego, przynosi on z sobą myśl gminną, rehabilitację pracy — jak powiada Augustyn Thierry. Stan trzeci pojmuje państwo inaczej, jak stan militarny. Podług niego — państwo, to na wielką skalę takie same gospodarstwo, jakiem jest gminne. Zadaniem jego głównym powinno być umożliwienie pracy dla narodu, celem osiągnięcia jaknajwiększego dobrobytu. Zasada pracy przeciwstawia się zasadzie wojny.

Jest to historjografja Saint-Simona i jego uczniów.

Zasada pracy wywalczyła sobie w państwie uznanie, zmusiła militarizm z nią się rachować, lecz nie przemogła jego znaczenia kierowniczego, nie stała się jeszcze naczelną zasadą państwa. Wnosząc jednak z tego, że zasada militarna słabła i czyniła ustępstwa, a zasada pracy wzmagiła się i zyskiwała coraz większe uznanie, możemy wnioskować, że proces i tutaj odbywać się będzie w tym samym kierunku i przyprowadzi wreszcie do tego, że zasada pracy zwycięży, stanie się naczelnym zadaniem państwa. Uważamy to za konieczność historyczną.

Uznanie ludności za naczelną czynnik w państwie było wielkim krokiem w jego demokratyzo-

mdłą muchą, która ma więcej czci i szczęścia niż Romeo i niż Hamlet, niż Dante i Byron, i wszystkie bazylissy i wszystkie cezary. Ach rozczarowanie, które daje życie, zakląć na nowy czar nie jest niepodobieństwem... nie wiemy na jaki, ale go się można spodziewać. Któż jednak wie, jakie nieodwołalne rozczarowanie gotuje nam śmierć, w której tyle pokładają ufności ci, zawiedzeni przez życie?

Byłem, być może, w takim usposobieniu, że mi się owe refleksje nasuwały. Do życia miałem wówczas dużo niechęci i nieufności — byłem dosyć młody, by nie umieć być cierpliwym, i nieziszczone pragnienia zdawały mi się dostatecznym powodem do zwątpienia o wartości życia.

Potrzebowałem jakiejś nauki, któraby mi wykazała, że zdobycze woli, skarby wyobraźni, że to, co człek w sobie nosi, — stanowi najwyższą wartość, nie zaś zewnętrzne zdarzenia.

Wtedy ujrzałem, jak z za drzwi, wiodących od wejścia, zbliżyła się młoda dziewczyna; blada była, ciemno ubrana, wyglądała na cudzoziemkę, kto wie nawet czy nie rodaczka, bo miała włosy płowe i jasne oczy. Nie widziała mnie; schowany za sarkofag nie

ruszałem się z miejsca, gdyż zaciekawił mię zachwyt rozlany na twarzy dziewczęcia. Zbliżyła się do śpiącego rycerza tak cicho i powoli, jakby szła ku drogiemu choremu. Nie, może raczej jak ku czekającemu na nią kochankowi.

Schylała się nad nim, coraz niżej, wargi jej nabiegały purpurą, rzęsy drgały, a usta wisiały nad śnieżno białą twarzą marmurowego rycerza jak kropki gorącej krwi. I wreszcie ponsowe te, ciepłe usta rozgniotły się takim warem pocałunku o zimne wargi tego... kamiennego, że pociemniało mi w oczach. Zdawało mi się, że stać się coś musi, on wstanie czy ona znicestwi się w tym pocałunku, w którym krzyknęły całą siłą wszystkie jej tęsknoty, wszystkie pragnienia...

— No i cóż? Poznałeś ją? Sprobowałeś szczęścia?

— Nie — odrzekł powoli opowiadający — poznałem ją, tak, ale nigdy nie miałem odwagi zasłużyć na taki pocałunek. Niezwalzonego miałem rywala...

waniu. Poczucie równości [obywatelskiej] upowszechniło się. Wraz z poczuciem równości roste i poczucie własnej godności. Przytem okazało się, że ludność w państwach nie należy wyłącznie do jednego narodu, że są w nich kraje, zamieszkałe przez odmienne narody. Rewolucje, demokratyzujące instytucje państwowe, uwidoczniły różnice, zachodzące w interesach narodowych. Szczególnie rewolucja 1848 r., która żywo poruszyła zachodnią Słowiańszczyznę, wysunęła sprawę narodowości na jedno z miejsc naczelných. Kongres słowiański, zwołany do Pragi a następnie rozpedzony przez wojsko austriackie, ogłosił manifest, mający wielką doniosłość idejową, równającą się niemal znakomitej deklaracji praw człowieka z 1789 r. Manifest 1848 r. dokładniej określił to, co już była wypowiedziała deklaracja. „Zasada wszelkiej władzy — głosiła ona — w istocie swej spoczywa w narodzie; żadne ciało, żadna jednostka nie może wykonywać władzy, któraby nie wychodziła od niego“. „My słowianie — powiadał Manifest — potępiamy i odpychamy ze wzdrgadą wszelką władzę przemocy, która obok prawa osobną jeszcze chce zachować wolę swą i utrzymać; odrzucamy wszelkie przywileje, wszelkie majątków prawa i tytuły, niemniej wszelkie polityczne różnice stanów, a domagamy się natomiast bezwarunkowej równości w obliczu prawa; żądamy równego wymiaru praw i powinności dla każdego; gdziekolwiek wśród milionów choćby jeden tylko rodził się niewolnik, tam niemasz jeszcze prawdziwej wolności. Tak więc, *Wolność, Równość i Braterstwo* wszystkich członków politycznego społeczeństwa, jak przed laty tysiącem, tak i po dziś dzień są znowu hasłem naszym. Podajemy wszystkim sąsiedzkim narodom braterską rękę, które również jak my gotowe są: *uznać zupełną wszystkich narodowości równość, bez względu na ich polityczną wielkość i potęgę i takową czynnie popierać i bronić*“. Deklaracja praw człowieka doprowadziła ostatecznie w całej Europie do zniesienia poddaństwa ludzi, w dalszym ciągu doprowadzić ona musi — jak to zaznacza Manifest słowiański — do zniesienia poddaństwa narodów. Jest to konieczność dziejowa.

Równouprawnienie narodowości możliwe jest tylko przy zupełnym samorządzie każdej. Tam, gdzie wytworzył się dziejowo centralizm państwowy, tam przy republikańsko-parlamentarnym nawet rządzie, jak np. we Francji, jest możliwe i istotnie się przejawia pogwałcenie praw mniejszości narodowych. Natomiast, w Szwajcarii rozległy samorząd gminny i prowincjonalny czyni to, że nawet drobny narodek Romannów żadnych ustawowych przeszkód nie napotyka w zachowaniu i rozwoju swej narodowości.

Każdy naród, uświadomiwszy sobie swe prawa, chce w swoim kraju być sam gospodarzem, mieć własne gospodarstwo. Mówiąc ogólnie, przejawia się powszechna dążność do unarodowienia państw. I w tym kierunku, często niezupełnie świadomie, działają dwa wrogie sobie stronnictwa: jedno, nazywamy państwem, usiłujące przemocą przemarować mniejsze narody, ażeby utrzymać istniejące państwo w całości, jak to widzimy np. w państwie pruskim; drugie zaś, któremu chodzi przede wszystkim o swobodny rozwój narodu, o usunięcie wszelkiej przemocy i gwałtów, słusznie może się nazywać narodem. Często w tym przedmiocie zachodzi wielkie pomieszanie pojęć. Nacjonalistami np. nazywamy skrajnych państwowców, u których pożądlivość terytorjalna zagłusza wszelkie uczucia altruistyczne.

Walka tych dwóch stronnictw daje się najlepiej obserwować w Austrii, ponieważ stronnictwa narodowe zdobyły w niej korzystniejsze dla siebie warunki, aniżeli gdzieindziej, i z tego powodu bardziej są świadome swej siły. Określając ogólnie oba stronnictwa, jedno ma charakter konserwatywny, a nawet reakcyjny, albowiem pragnęłoby przywrócić, chociażby częściowo, dawniejsze formy ustroju społeczno-politycznego; drugie zaś, niezadowolone z istniejących stosunków, pragnie doskonalszego ustroju, wierzy w ziszczenie jego w przyszłości, ma więc charakter postępowy. I to stronnictwo, które najdalej idzie w swych pragnieniach udoskonalenia stosunków wzajemno-ludzkich, najgorliwiej też zajęło się sprawą narodowościową. W stronnictwie socjalistycznym w Austrii najtęższe umysły, jak Karola Rennera, Ottona Bauera i innych, zajmują się przeważnie kwestją narodowościową.

Na kongresie socjalno-demokratycznym w 1899 roku w Bernie, po długiej dyskusji w komisjach, zgodnie przyjęto w sprawie narodowościowej następujący program:

1) Austrię należy przekształcić w demokratyczne narodowościowe państwo związkowe.

2) W miejscach historycznych krajów koronnych, mając za sobą utworzone narodowe rozgraniczone ciała autonomiczne, których ustawodawstwo i administrację sprawowałyby rady narodowe, wybierane na podstawie powszechnego, równego i bezpośredniego głosowania.

3) Wszystkie terytoria autonomiczne tego samego narodu tworzą jednolity narodowy związek, który swe narodowe sprawy załatwia całkiem autonomicznie.

4) Prawo mniejszości narodowych chroni osobna ustawa, którą ma uchwalić parlament.

5) Nie uznajemy żadnego narodowego przywileju i dlatego odrzucamy żądanie języka państwowego; o ile zaś jest potrzebnym język pośredniczący, to rozstrzygnie parlament.

W tym programie — jak widzimy — interes narodowy bierze stanowczą przewagę nad terytorjalnością, cechą państwową. Jeszcze bardziej to się uwidocznia w kwestji, nader żywotnej w Austrii, w kwestji zabezpieczenia praw mniejszości narodowych.

Bolesław Limanowski.

Po wyborach belgijskich.

IV.

W dniu głosowania wyborca zgłasza się do biura wyborczego (biur tych jest bardzo wiele, decentralizacja jest nadzwyczajna, w Brukselli jest biur wyborczych powyżej 600), przedstawia legitymację, poczem przewodniczący wydaje mu jedną, dwie albo trzy karty wyborcze (stosownie do adnotacji, wymienionej na legitymacji wyborczej) i karty te zaopatruje ze strony zewnętrznej w stempel specjalny. Wyborca udaje się do miejsca izolowanego („*isoloirs*“) i odosobniony od wzrozków ciekawych, głosuje, zakreślając czarnym ołówkiem jedno z białych kółek, bądź na czele listy, bądź obok któregośkolwiek nazwiska kandydata. Poczem składa karty wyborcze w czworo, pokazuje przewodniczącemu, że zawierają stempel ze strony zewnętrznej i wpuszcza je do urny wyborczej.

Każdy głos posiada trojaki znaczenie. Po pierwsze liczony jest jako jednostka na korzyść listy po to, aby pozwolić na określenie proporcjonalne ilości mandatów, przypadających w udziale każdej partji. Dalej liczony jest na korzyść kandydata określonego, aby wyznaczyć każdej liście kandydatów, którym zostaną przyznane mandaty, zdobyte przez partję. Wreszcie jest liczony, jako jednostka na korzyść kandydata-zastępcy, aby znów określić ewentualnych spadkobierców mandatarjuszów partji poszczególnych. Wyborca nie może jednocześnie głosować na listę oraz na poszczególnego kandydata—popęłiłby bowiem sprzeczność (z jednej strony wyraża zgodę na porządek listy zgłoszonej, z drugiej porządek ten wzsusza), i sprzeczności tej nie mogłoby wyrównać biuro, liczące głosy. Może zaś głosować zawsze na kandydata-zastępcę jednocześnie (może i nie głosować poszczególnie, w takim razie wyraża zgodę na porządek prezentacji).

Liczenie głosów jest dosyć złożone. Odbywa się cztery razy: 1) według głosowań na całe listy, 2) według głosowań na poszczególnego kandydata, 3) według głosowania na kandydata-zastępcę, 4) według głosowania na kandydata i na kandydata-zastępcę. Pierwszym aktem biura jest dokonanie takiego obrachowania. Aktem następnym jest wynalezienie „miary wyborczej“, to znaczy wspólnego dzielnika (*diviseur électoral*), który będzie podstawą repartycji mandatów między różne listy wyborcze. Dzielnik ten otrzymuje się w ten sposób, że ilość głosów, złożonych na każdą poszczególną listę dzieli się w porządku arytmetycznym przez 1, 2, 3, 4, 5, 6 i t. d. Następnie ilorazy, w ten sposób otrzymane, wypisuje się w porządku ich arytmetycznej wielkości tyle razy, ile jest mandatów do rozdania w danym okręgu. Ostatni iloraz jest dzielnikiem wyborczym i każda lista ma prawo do tylu mandatów, ile razy dzielnik wyborczy mieści się w sumie głosów na nią oddanych.

Najlepiej wyjaśnić tę procedurę, dosyć złożoną (jak każda zresztą procedura wyborcza) w przykładowym.

Według obliczeń urzędowych złożono w Brukselli 2 czerwca r. 1912:

na listę katolicką (była oznaczona numerem 3)—	150,052	gł.
„ „ socjalistyczną „ „ „ 4)—	72,865	„
„ „ liberalną „ „ „ 5)—	104,176	„
„ „ dem. chrześc. „ „ „ 1 i 2) —	2,787	„

Liczby te dzielono przez 1, 2, 3, 4 i t. d., a że Bruksella wybierała w r. 1912 — 26 posłów, tedy na 26 miejscu otrzymano cyfrę 12,144 (dzielnik wyborczy).

Liczba ta mieści się ilość razy:

w liście katolickiej	(150,053)	— 12
„ „ liberalnej	(104,176)	— 8
„ „ socjalistycznej	(72,865)	— 6
„ „ chrześc. demokr.	(2,787)	— 0

W ten sposób katolicy otrzymują 12 mandatów, liberali 8, socjaliści 6, chrześcijańscy demokraci nie otrzymują żadnego.

Mamy obecnie ilość mandatów, przypadających w udziale każdemu stronnictwu, które przedstawiało listę wyborczą. Obecnie chodzi o określenie porządku, w jakim poszczególni kandydaci mandaty otrzymują.

Tak np. na listę socjalistyczną złożono, jak wiadomo, głosów 72,865, w tej liczbie na listę złożono 66,481 gł., na poszczególnych kandydatów (*votes de préférence*) 6,384 gł., a mianowicie:

Vandervelde otrzymał głosów 1,158, Bertrand — 1,614, Delporte — 91, Camille Huysmans — 1,280, Meysmans — 245, Elbers — 193, Baech — 492, Fischer — 205, Vinch — 270, Vanderminen — 191, Convardy — 58, Paulsen 1,650 i t. d. Dzielnik wyborczy wynosił, jak wiadomo 12,144.

Vandervelde (1158) zatrzyma z ogólnej sumy wybor.	10,986	gł.
Bertrand (1614) „ „ „ „	10,530	„
Delporte (91) „ „ „ „	12,053	„
C. Huysmans (1280) „ „ „ „	10,864	„
Huysmans (245) „ „ „ „	11,999	„
Elbers (193) „ „ „ „	11,951	„

Gdy kolej przychodzi na Elbersa w ogólnej sumie głosów, oddanych na socjalistów, pozostaje już tylko 10,149. Aby Elbers mógł być wybrany, potrzeba jednak 11,951. Brakujące tedy 1807 głosów zapisuje się na dobro Elbersa z rachunku dalszych kandydatów: Baec'ka (492), Fischera (206), Vinck'a (270), Paulsena (1656), aż do wysokości 1802 głosów. Elbers zamyka w ten sposób listę wybranych posłów socjalistycznych.

Organizacja wyborcza belgijska ma obrońców w obozie klerykalnym i konserwatywnym*). Miała niekiedy dawniej obrońców w obozie liberalnym (zaraz po wprowadzeniu powszechnego i ograniczonego prawa wyborczego). Niekiedy socjaliści nawet posuwali się do tolerancji dla ustawy, którą najsilniej mieli później zwalczać**). Od początku XX stulecia opinja postępową Belgji domagać się nie przestawała powszechnego i równego prawa wyborczego. System pluralny uważa za niesprawiedliwy, nadający się łatwo do podstępów, do kłamstwa wyborczego. Zarówno w kierunku wygotowywania list wyborców, jak i w podziale głosów. System ten mnoży po wielokroć przywileje ekonomiczne mniejszości i zabezpiecza panowanie nad narodem (Anseele).

System ten pozwala 600,000 wyborców konserwatywnych i klerykalnych, posiadających półtora miliona głosów, unicestwić milion wyborców demokratycznych dlatego, że posiadają razem za ledwie milion głosów (Goblet d'Alviella). Pisarz ten wyraża się jak następuje: „Naskutek głosów pluralnych i sfalszowanej reprezentacji proporcjonalnej — przedstawicielstwo narodowe jest pozorem tylko. Ciało wyborcze, uciskane i skorumpowane, prowadzone jest przez mniejszość konserwatywną i klerykalną“. „Mniejszość ta zdobywa ludzi dla siebie pożytecznych za cenę koncesji materialnych, które im ofiaruje. Prawica utworzyła syndykat dla eksploatacji władzy. Jej członkowie stają się ministrami nie po to, aby lepiej rządzić krajem i interesami zbiorowości, ale by tylko otrzymywać złotodajne synekury w chwili, gdy ustąpią z widowni walki o władzę.

„Belgją rządzą biskopat i jezuiti. Ci ostatni

*) Dupriez (prof. uniwersytetu katolickiego w Louvain), Pyfferoen (prof. uniwersytetu państwowego t. j. katolickiego w Gandawie).

**) Socjaliści pogodzili się z głosowaniem pluralnym. Oto co pisał dwu najwybitniejszych, Vandervelde i Destrée w roku 1898. „Nie było nic uderzającego w przyznaniu głosu dodatkowego ojcóm rodzinny, w tym głosie zawarty został jakgdyby załączek głosu, przyznanego kobiecie. Z drugiej strony nie stwarzał ten głos przywileju klasowego, nie utwierdzał panowania klasy. Robotnicy żonaci, narówni z przedstawicielami żonatymi mieszczaństwa korzystają z podwójnego głosu *patris familiae*“. („Le socialisme en Belgique“ 131). W roku 1911 pisał Vandervelde: „W społeczeństwie naszym, w którym bogactwo daje tym, którzy je posiadają, wpływ zgola wyjątkowy mógłbym wyobrazić sobie, że pragnąc stworzyć równowagę, należałoby dać biednym po trzy, a bogatym po jednym tylko głosie...“ („Revue de Belgique“ 1911, 882).

zagarnęli w swoje ręce wychowanie dzieci, episkopat — zagarnął władzę państwową. Ludzie, którzy powinni być mandatarjuszami kraju, stali się tylko poliszytelami, których kler wprawia w ruch przy pomocy niteczek. Politycy klerykalni spieniężają swoje mandaty, księża spieniężają religję. Stali się handlarzami masła, węgla, nasion, sztucznych nawozów, agentami ubezpieczeń i pośrednictwami pracy, co gorsza, agentami wyborczymi... „Sto dwadzieścia pięć tysięcy dzieci belgijskich nie uczęszcza do żadnej szkoły. Tysiące starych robotników znajduje się w nędzy. Płaca robocza jest najniższa, a życie coraz droższe. Klasztor przemysłowe tworzą konkurencję nie do opanowania dla robotników i robotnic — pod okiem rządu i z jego zachętą. Sytuacja militarna w kraju staje się z roku na rok gorsza. Cała administracja została sklerykalizowana. Tak samo notariat, magistratura sądowa, profesoraty uniwersyteckie. Tysiące obcych zakonników i zakonnic otrzymało naturalizację, aby móc korzystać z budżetu oświaty. Obywatel przestał być wolnym w Belgji, musi bowiem wybierać pomiędzy sumieniem a chlebem. Polityka szkolna rządu prowadzi do zupełnej niewoli sumienia i do przekazania klasztorom funduszy publicznych“ *).

Stanisław Posner.

KSIĄŻKA.

*Znowu wracam do księgi kochanej, co pięści
Widokiem dusz kwitnących, kwiatów, co zawarły
Tajemnicę serc żywych — nim na Grobie zmarły...
Wonne są jako kwiaty słowa tej powieści.*

*Śpiew szalonego morza — i cichość, wstająca
W mgłach zimnych śród bezdroża z polskiego mokradła,
Trupy o krwawych oczach i jasne widziadła,
Luny miast gorejących i świąty miesiąca...*

*Jasny pan, w Piękno wpatrzon, jako orzeł w słońce,
Z gościńców kędyś górskich, gdzie krwawi się stopa,
Powrócony ojczyźnie jęk polskiego chłopca,
Śmiech księżniczki, za chwilą przez lata tęskniącej,*

*I innych, krwawych tęsknot przyśnione obrazy —
Ludzie wielcy w marzeniu, w miłowaniu prości,
Zaprzyśiężone świtom, choć gasną w żalności,
Dobre i mądre oczy rycerza bez skazy.*

*W echa leżącej światem żołnierskiej piosenki
Wmieszany krzyk rozpacz, co duszę spopiela,
I w słowo nie rozkwitły uśmiech marzyciela
W męce dnia ostatniego po wielu dniach męki...*

*) „Revue de Belgique“ 1912, 441. Autor tego artykułu, hrabia Goblet d'Alviella, senator i profesor uniwersytetu w Brukseli, najwybitniejszy pisarz belgijski w zakresie dziejów religij („p. Croyances, Rites, Institutions“, 3 tomy, Paryż 1911, zbiór ku uczczeniu trzydziestopięciolecia pracy naukowej).

*Kapitan Piotr przez okno spogląda otwarte,
Siew marzeń nieobesztych oblicza w pamięci,
Od zorzy ma na czole blask złoty, jak święci...
Ktoś czytał to przedemną i zatamował kartę*

*I myśl się zatamowała w pożegnani żalobie
Na karcie tej, do śladów wspomnienia przypadłszy,
Gdy sumienia głos woła: „to na ciebie patrzy
Przyjaciel duszy twojej w marzeniu — o tobie!“*

*Któż jego rąk zastygłych i serca, co zgasto,
Niż sama śmierć mocniejszą przysięgę niezłomną
Spełni — i czyje dumy znowu się upomną
O jego szpadę wodza i rycerskie hasło?*

Michał C. Bielecki.

Szkoła ogrodnicza w Leoniszkach.

Rząd, jak wiadomo, od lat 3 — 4 wszedł wreszcie na drogę tak bardzo potrzebnych i celowych kredytów z kasy państwa na cele rolnictwa i wszelkich innych gałęzi, mniej lub więcej z niem związanych. Rzecz prosta, że główny zarząd rolnictwa i urzędów rolnych popiera również i wszelkie szkoły zawodowe, zapoczątkowane bądź to przez instytucje społeczne i stowarzyszenia zawodowe, bądź też nawet przez pojedyncze osoby.

Rząd przytem stale trzyma się dwóch punktów zasadniczych przy udzielaniu zasiłków: 1) stawia swoje żądania co do programu nauk i zajęć praktycznych w szkołach nowootwieranych; 2) udziela zasiłków na ściśle wskazane cele; i 3) wysokość tych zasiłków uzależnia w prostym stosunku od udziału materialnego w utrzymaniu danej szkoły organizacji prywatnych lub instytucji samorządnych. Ten punkt trzeci, jak się zdaje, jest przestrzegany dlatego, iż dla rządu udział inicjatora w utrzymaniu szkoły jest poniekąd słusznym wskaźnikiem potrzeby takiej szkoły. Niepodobna również zaprzeczyć poważnej dozy słuszności i w dwóch pierwszych punktach, zwłaszcza gdy się zważy, że wszystkim szkołom prywatnym, nie żądającym ani praw, ani zasiłków, rząd również narzuca swoje programy i zastrzega sobie nawet aż nazbyt zazdrośnie prawo stałej kontroli.

W rzędzie podobnych szkół zawodowych lat ostatnich należy zapisać: szkoły rolnicze w Woroncu (gub. wileńska) i Datnowie (gub. kowieńska), oraz niższą szkołę ogrodniczą p. J. Pawłowicza w Leoniszkach pod Wilnem. Dwie pierwsze zostały dźwignięte bądź to dzięki ofiarności i inicjatywie prywatnej (ks. Druckich-Lubeckich w Woroncu), bądź też połączonym staraniami inicjatywy prywatnej i ofiarności szlachty gub. kowieńskiej (w Datnowie). Ostatnia — niższa szkoła ogrodnicza w Leoniszkach powstała jedynie dzięki staraniom i inicjatywie p. J. Pawłowicza, obliczonym na poparcie z jednej strony zarządu miejskiego m. Wilna, a z drugiej — Wil. Towarzystwa Pomologicznego, jako zawodowej organizacji społecznej.

Niższa szkoła ogrodnicza w Leoniszkach została otwarta z wiosną r. 1910 a dziś liczy przeszło dwa lata istnienia. Od początku wszakże swej działalności zdradzała ona poważną rozbieżność w zadaniach swych i środkach ku temu celowi podjętych, co właśnie stanowi zasadniczy punkt wyjścia dla artykułu niniejszego.

P. Józef Pawłowicz jest zawodowo wykształconym ogrodnikiem czyli t. zw. „uczonym pomologiem“ w nomenklaturze urzędowej. Podejmując zadanie otwarcia pod Wilnem szkoły zawodowej ogrodniczej, p. J. Pawłowicz mógł całkiem słusznie liczyć na poparcie zarówno rządu, jak i odpowiednich organizacji i stowarzyszeń społecznych, a więc zarządu miejskiego m. Wilna i miejscowego Towarzystwa Pomologicznego.

Faktem jest, że wraz z pozwoleniem na otwarcie niższej szkoły ogrodniczej p. Pawłowicz przywiózł z Petersburga gwarancję przeszło 3 tys. rubli rocznego zasiłku rządowego, wyznaczonego zresztą na specjalnie wskazane pozycje wykładów i zajęć praktycznych w szkole, oraz mgliste obietnice dalszej pomocy. Miasto odpowiedziało na to jedynie bezpłatnym oddaniem drobnego, bo zaledwie 16 dziesięcin liczącego folwarku miejskiego Małe Leoniszki i obietnicą wypłaty 1000 rb. w gotowiznie. Powściągliwość miasta można w znacznej mierze wytłumaczyć i tem, że korzyści ze szkoły ogrodniczej w znakomitej mierze powinny raczej obchodzić sfery ziemiańskie i wogóle z rolnictwem związek mające.

P. J. Pawłowicz tedy otrzymał ów folwarczek Leoniszki od dzierżawcy w stanie najwyższego opuszczenia i zaniedbania i... zero formalne i faktyczne na koszt organizacji i uruchomienia nowej, a bardzo pożądanej szkoły zawodowej, która nigdy i w najpomysłniejszych warunkach nie mogła dlań stać się źródłem kariery.

A przecież się nie cofnął i szkołę uruchomił, otwierając w niej miejsce dla 16-u stałych internów, oraz urządzając praktyczne kursy i pokazy dla eksternów (głównie eksternistek) z miast i okolic.

Najważniejsze zadanie gruntownej restauracji budynku głównego i jakiej takiej naprawy paru lichych budowli pomocniczych zostało pomyślnie rozwiązane dzięki hojnej ofierze gien. Wojnickiego w sumie 1,800 rb. Szkoła zaczęła funkcjonować i od razu zdobyła etatem przepisana liczbę pensjonarzy 17-u, którzy opłacali za naukę rocznie 10 rubli, oraz po 12 rb. miesięcznie za całkowite utrzymanie.

Folwark miejski Małe Leoniszki, liczący 16 dziesięcin rozległości, składa się w jednej połowie z pól górnych wśród lasu, o gruncie suchym piaszczysto-żwirowatym z nader trudnym dojazdem od siedziby, i w drugiej — z kawałków łąki nad-rzecznej (nad Wilenką) i znacznego obszaru gruntów mokrych piaszczysto-torfiastych, miejscami z domieszką dzikiego łą. Ogólnie rzecz biorąc, grunta folwarku są nader ubogie, ogromnie przepuszczalne i w obliczeniach gospodarczych nader zawodne. Plussem ich jest nader dogodna wystawa na południe. Dodać tu należy, że grunta te pozostające przez czas dłuższy w rękach albo ciemnych rolników-kolonistów, albo też nie znających się na rzeczy dzierżawców-letnikowiczów, były w najwyższym stopniu wyniszczone i zaniedbane, mimo, iż cena dzierżawna wynosi rocznie przeszło 490 rb.

Z powyższego widzimy, że budżet szkoły narażony był więcej niż skromny i w żadnym razie

nie mógł odpowiednio wynagrodzić p. J. Pawłowicza za jego ogromną pracę. Za spełnienie różnorodnych obowiązków dyrektor nie tylko nie miał żadnego wynagrodzenia, lecz nawet i mieszkania dla siebie i rodziny.

Pozatem, ażeby sprostać wydatkom na utrzymanie szkoły i kupno najniezbędniejszego inwentarza i narzędzi, dyrektor był zmuszony tak prowadzić gospodarkę na folwarku, ażeby z niej, o ile się dało, najwięcej wydobyć za pomocą nader forsownej kultury nowalijek, jak: kalafjorów, kapusty, pomidorów i t. p. Jako nawozu używano pudrety i otrzymywano rezultaty istotnie nader okazałe.

Lecz taki system, przy jednoczesnym braku wykładów teoretycznych, nadawał szkole zbyt jednostronny kierunek: wychowawcy wprawdzie poddani surowemu regulaminowi i całodziennej pracy fizycznej wdrażani byli do porządku i nabierali pewnej wprawy w niektórych czynnościach, lecz mieli natomiast zbyt mało sposobności do obznajmiania się z wielu poszczególnymi działami ogrodnictwa. Tymczasem wśród młodzieży zebranej w szkole, można orzec śmiało, ogromną większość stanowili tacy, co umieli znacznie więcej niż „czytać, pisać i trochę rachunków“, jak tego ustawa dla tej „szkoły starszych robotników ogrodniczych“ wymaga.

Wiemy naprzykład, że jeden z uczniów szkoły w Leoniszkach przebywa obecnie w Bohonicach u Brna w Czechach celem dalszego i szerszego wykształcenia zawodowego.

W drugim tedy roku istnienia szkoły (1911) dyrektor J. Pawłowicz zdołał pozyskać nową ofiarę na rzecz szkoły w sumie 10 tys. rubli od tegoż wyżej wzmiankowanego gien. Wojnickiego, który przeznaczał tę sumę na wzniesienie odpowiednich nowych budynków szkolnych i żądał, aby miasto, jako właściciel tych budynków, wypłacało jemu lub żonie jego dożywotnio po 600 rb. rocznej renty. Miasto darowiznę przyjęło na tych warunkach, lecz postanowiło, przed wzniesieniem budynków pod swym kierunkiem, odpowiednio uregulować swój stosunek z p. J. Pawłowiczem, dotychczasowym właścicielem szkoły tak, ażeby istnienie szkoły zostało uniezależnione od widzimisię p. Pawłowicza.

Układy te trwały aż do wiosny r. b. i wreszcie zbiegły się z rewizją szkoły, wyznaczoną przez centralny zarząd rolnictwa i urzędzeń rolnych.

W zimie r. b. krążyły nawet uporcezywe pogłoski o zagrożonym byciu szkoły, co byłoby stratą niepowetowaną. Na szczęście, stało się inaczej. P. J. Pawłowicz, jako człowiek ambitny, przekonał się łatwo, że szkoła w Leoniszkach nie daje odpowiedniego pola dla jego pracy, ani też nie zapewnia mu koniecznego wynagrodzenia za pracę i zgodził się na piśmie w marcu r. b., ażeby szkoła przeszła pod wyłączny kierunek zarządu miejskiego. Zaś w końcu maja r. b. przysłany umyślnie z Petersburga specjalista agronom, po dokonaniu rewizji na miejscu, orzekł, że stan szkoły jest niezadawalający.

Tak więc niższa szkoła ogrodnicza w Leoniszkach, po dwóch latach istnienia, rychło rozpoczęła nowy jego okres i wejdzie na drogę, właściwszego rozwoju, mając sobie zapewnione zasiłki zarówno od miasta, jak i od centralnego zarządu rolnictwa i urzędzeń rolnych. Niższa szkoła ogrodnicza w Leoniszkach ma przed sobą bardzo poważne zadanie, dostarczania krajowi odpowiednio uzdolnionych pracowników ogrodniczych, którzy z jednej stro-

ny mogą z powodzeniem zastąpić dotychczasowych ogrodników-samouków po dworach, jeno coraz bardziej przyczyniających się do zaniedbania ogrodów po wsiach, a z drugiej — wytworzą kadry samodzielnych podmiejskich kolonistów ogrodników, którzy zaopatrzą rynki miast Litwy i Białejrusi w obfitości tanich jarzyn, których tak bardzo wszystkim dziś braknie. Dla przykładu tu wspomnę, że wszelkie jarzyny-nowalijki pod Warszawą są stale o połowę, a nawet więcej tańsze i znacznie wcześniejsze, niżli dostać ich można w Wilnie, Mińsku i t. p.

Bajoras.

Korespondencje.

Mińsk.

Wystawa-jarmark, urządzona staraniem Mińskiego Towarzystwa Rolniczego, zainteresowała szerokie koła ziemiańskie i ściągnęła liczne zastępy. Oczywiście, że w tymże czasie i instytucje towarzyskie polskie ożyły, przygotowały się na przyjęcie swych gości.

Wystawy podobne bezsprzecznie mają wielkie znaczenie: ułatwiają przedewszystkiem częstsze zbiorowe obcowanie ludzi, siłą rzeczy rozrzuconych i oddalonych od siebie, wykazują wyniki pracy zawodowej, dają możność nabywcom i sprzedawcom załatwiania transakcji bezpośrednio, zachęcają do pracy. A jeśli dodamy do tego, że przy takim zjeździe liczniejszym zainteresowanie wybiegać powinno i poza sprawy zawodowe specjalne i kierować się w stronę zrzeszonej pracy społecznej, — to zrozumieć nie trudno, iż rzucone ziarno myśli w marcu, już w pierwsze lato wyrosło w kłosiste pole rzeczywistości.

Zarówno ziemianie, jak i przemysłowcy oraz specjaliści, pracujący na wsi i dla wsi, mieli możność bliższego poznania się i załatwienia nie jednej ważnej sprawy.

Rozumie się, że to i owo nie było tak załatwione przy organizacji, jak być mogłoby, jednak zasadniczo całą sprawę zorganizowano wcale nieźle, a najważniejsze bodaj to, że trafiono w nerw wsi, i że wieś ta żywo odezwała się na wezwanie.

Oczywiście, że i towarzyskie oraz kulturalne rozrywki musiały mieć miejsce. „Ognisko“ urządziło koncert-raut, na którym śpiewała z prawdziwym powodzeniem, bardzo subtelnie p. Olgierdowa Gordziałkowska z Mohylewszczyzny. Sala zarówno na koncercie jak i na balu była zapelniona, mimo że ludzie przyszli zmęczeni na wspólne spędzenie chwil, na odpoczynek od codziennych trosk, zabiegów i prac.

* * *

Sprawa wyborów wśród tutejszych sfer rządowych, duchownych i „nacjonalistycznych“ jest ciągle żywą, natomiast społeczeństwo polskie rozumiało zupełną niepraktyczność czynniejszego udziału i dość obojętnie patrzy na śmierć III i narodziny IV Dumy. Były wprawdzie pewne porozumienia w tej kwestji, do konkretnych jednak i zdecydowanych postanowień nie doszło.

Obóz naszych „przyjaciół“ przedstawia się zaś w ten sposób: Wylaniają się dwa bloki: t. zw. archijerejski i drugi — blok gubernatorski.

Pierwszy powziął zamiar wystawienia kandydatur i przeprowadzenia do IV Dumy następujących osób:

- 1) p. Skrynczenko, były redaktor czarnoseciniego „Mińskiego Słowa“;
- 2) O. Joan, duchowny przy archireju;
- 3) Dr. Zdanowicz (ten jednak podobno nie chce przyjąć mandatu).

Wszyscy posłowie włościańscy dotychczasowi oraz kilku duchownych prawosławnych.

Śmierć archijereja jednak nieco pokrzyżowała pierwotne plany i jaki ostateczny będzie skład tego bloku, na razie przewidzieć trudno, gdyż drugi blok (t. zw. gubernatorski) z chwilą śmierci b. wrogo względem niego usposobionego archijereja, — nabiera więcej siły i pewności.

Blok t. zw. gubernatorski stawia kandydatury:

- 1) p. Demidowa (konserwatysta, ziemiec urzędowy);
- 2) p. Pietrowa (zarządzający kancelarią gubernatora);
- 3) p. Glinko (członek rady gubernalnej)
- i 4) p. Samojlenko (prezes ziemstwa gubernalnego).

Co do reszty kandydatur — kwestję pozostawiono otwartą.

Mimo te dwa bloki, wysuwa się niezależna kandydatura p. Jelnickiego, październikowca, nauczyciela z m. Parycz (pow. Bobrujski) szkoły duchownej żeńskiej. Ten kandydat ma licznych zwolenników i mimo 60 lat, jest energicznym organizatorem, przytem uniezależnia się od „sfer“ odrazu.

Podobno ma on zamiar zorganizować nową białoruską grupę czy partję z programem „półpaździernikowców“.

Tak oto przedstawia się w zarysie sprawa wyborów do IV Dumy.

Wszelkie w tej kwestji zmiany, przedsięwzięcia lub postanowienia będziemy komunikowali naszym czytelnikom, gdyż nasz ośrodek (Mińsk) stanowi jedno z większych gniazd polakożerstwa i rozpanoszonego współczesnego nacjonalizmu rosyjskiego.

Stanowisko żydów i białorusinów nie jest jeszcze nam znane dokładnie. O ile słyszymy, białorusini, grupujący się koło „Naszej Niwy“, będą wszędzie na wsi niezależnie występować i starali się przeprowadzić swoich kandydatów.

* * *

Bardzo charakterystyczny epizod zaszedł w sądzie okręgowym. Mianowicie prezes sądu, p. Rieznikow, z objęciem stanowiska zauważył brak dokumentów w głośnej swego czasu sprawie o polowanie na lisy na cmentarzu prawosławnym. Na wszczęte dochodzenia w tej kwestji otrzymał — podobno — odpowiedź, iż dokumenty odesłano do departamentu min. sprawiedliwości, lecz i tam o nich nie wiedzą. Prywatna korespondencja, prowadzona w tej całej tajemniczej sprawie — ma jakoby wyjaśnić, gdzie się podziały owe dokumenty.

* * *

W dniu 11 (24) b. m. odbyło się posiedzenie Rady miejskiej, na którym rozpatrywano: 1) sprawę budowy ratusza kosztem 600,000 rb. i 2) sprawę wykupu dotychczasowych tramwajów i budowy nowego elektrycznego. W pierwszej postanowiono wyasygnować 3,000 rb. na koszt sporządzenia projektu placów i ratusza — w drugiej narazie nic nie postanowiono i ważną bardzo dla mieszkańców miasta oraz dla samej gospodarki miejskiej sprawę pozostawiono jakby w zawieszaniu. Dzisiejszy koncesjonariusz tramwaju, p. Polak, żąda tak wygórowanej sumy (300,000 rb.) wykupu, że obowiązkiem komisji specjalnej było sprawdzenie jaknajdokładniejsze dochodowości dzisiejszego przedsiębiorstwa i obliczenia sumy wykupnej, czego jednak nie uczyniono, a termin, zdaje się, w listopadzie upływa.

* * *

Wydrukowany w przedostatnim N-rze „Przełądu Wil.” list p. W. Falkowskiego w sprawie „Świsłoczy” poruszył zarówno zarząd jak i członków naszej kooperatywy. Dochodzą nas głosy, z uznaniem podnoszące śmiałe wystąpienie p. W. Falkowskiego przeciw zaśniedziałym rządóm w instytucjach społecznych.

Do sprawy tej powrócimy jeszcze.

Leszek Czarny.

Uroda życia.

Materjalny wynalazek staje się wartością duchową, jeżeli budzi z martwych ducha niewolników i iamię w ich piersi berło tyrańca.

Katerla.

Jedyną potęgą istotną i niewątpliwą jest gienjusz i funkcja jego — wynalazek.

Katerla.

Świadomość jest synonimem wynalazczości i swobody.

Henryk Bergson.

...zaprzysięgnij sobie poznanie siebie...

M. Zych „Słowo o Bandosie”.

Kto wglębiał się w pisma społecznych myślicieli, ten z książkami Żeromskiego wchodził w ścisły i zażyły kontakt. Żywa bowiem ich inteligencja skupia w sobie wszystkie promienie społecznej wiedzy. Szczególnie kierunek, znany pod nazwą „Ewolucji twórczej”, ma w Żeromskim czciciela i herolda. Przypada on specjalnie do gustu jego umiłowaniam i tęsknotom politycznym, gdyż uzasadnia naukowo prometeiczne nawoływania i hasła. Irracjonalizm ten ma zwolenników w różnych obozach myślowych: chwytają się go katolicy, by dowieść nieśmiertelności duszy, jak znów rewolucjonizm posługuje się nim, by uzasadnić tezę strejku gieneralnego.

Nie o to tu jednak chodzi. Teoria ewolucji twórczej, jako teoria, może być różnie stosowana. Nie obala więc jej znaczenia to, że służy do mactw klerykalizmu, jak też nie dodaje jej splendoru, gdy anarchizm wyciąga do niej ręce po argumenty.

Ważne jest tylko, że zmniejszyła ona znacznie popyt na teorie mechanistyczne, że poddała surowej krytyce wszystkie „dowiedzione” tezy społecznej wiedzy. I rezultaty tej krytyki oddała na użytek szerokich warstw społecznych, powołała znów do życia poniewieraną wolę ludzką, uwarunkowała indywidualny trud i pracę.

Uczono nas bowiem, że bez względu na nasze wysiłki, historia idzie swoją mechanistycznie konieczną drogą. Pokpiwano z reformatorów, gdyż wszystkie bolączki miał usunąć jeden jedyny fetysz, któremu dano miano bardzo ogólnikowe, by tem wygodniej w mętnej wodzie wszystkie łowić ryby. Tym fetyszem było pojęcie gospodarki społecznej. Dziś już określono do pewnego stopnia granice znaczenia i wpływu gospodarki; dziś wiemy, gdzie sięgają kategorie ekonomji społecznej i jak są związane z życiem ideologii. Miast pierwszeństwa ekonomji lub też ideologii — dwóch ogólnikowych brył w chaosie życia gromadzkiego, wysunięto na plan pierwszy rozważania nad poznaniem ludzkim. Doprowadziły te badania do zupełnej rewolucji. Najbardziej „mechanistyczne” usposobieni badacze musieli przyjąć pierwiastek woli ludzkiej i oddać mu miejsce należne w rozważaniu. Historjografja wytworzyła specjalną szkołę, która swoje założenia opiera na wynalazku, to jest na udziale woli w historii. Badaczom tego rodzaju chodzi o dowiedzenie, że całe nadzieje ludzkie są właściwie tylko historją wynalazczości ludzkiej. Para, elektryczność — oto takie momenty w stawianiu się dziejowem, które tworzą nowe formy życia państwowego i społecznego. Wiara w wynalazczość w społecznej Europie jest prawie ogólna. Szczególnie aeroplany przyczyniły się do zwycięstwa tej teorii. I dlatego to dziś na tej wierze buduje się złote wizje przyszłości. I dlatego to wiara ta przerzuca most w krainę lepszej rzeczywistości i każe ufać, że przyszłość tylko od nas zależy. Żeromski specjalnie ukochał tę teorię, oddającą losy nasze w ręce nasze. Już od „Dumy o hetmanie” zaznacza on wyraźnie, kędy płyną jego marzenia o społecznej Polsce. „Słowo o Bandosie” i katerlowa „Róża” jeszcze dobitniej zaświadczyły, jakimi szlakami dąży jego czujna myśl i wrażliwe sumienie. Ideologja „Urody życia” niczem się nie różni od „Sułkowskiego” i od „Róży”. Powtarza w niej Żeromski znów ulubioną swoją tezę: losy wasze w rękach waszych.

Bo i w czem właściwie doszukał się on „Urody życia”, pisząc smutne dzieje oficera Rozłuckiego? Tylko w tem, że ten człowiek mocą własnego sumienia umiał się odrodzić. Piękno jego leży w szamotaniu się, w walce. Fakt ten gieneralizuje Żeromski i mówi społeczności: walczcie i szamoczcie się, bo w tem tkwi cała „uroda życia”.

Rozkaźnik ten, bez wątpienia, może podlegać zakwestjonowaniu. Nie jest to jednak rzeczą krytyki sprzeczać się z autorem o jego ukochania życiowe. Ważne jest natomiast, jak ukochania te wpływają na sztukę jego, jak kształtują formę, która służy za realny wyraz tych ukochań.

Bajka powieści Żeromskiego jest nieskomplikowana. Młody uczeń szkoły artyleryjskiej w Petersburgu składa pysznie egzaminy i zostaje mianowany na służbę czynną do Królestwa Polskiego. Uczeń ten wychował się w środowisku rosyjskim, jest prawosławnym, ani marzy o tem, że jego ojciec był powstańcem polskim, wierzy tylko w potęgę państwowości rosyjskiej. Ta wiara czyni zeń

głuchego na wszystkie podszepty serca, zresztą nie doświadcza on ich wcale, bo zna zagony swoich pradziadów tylko z książek. Gdy przyjechał do Królestwa, patrzy na wszystkie oczami zdziwionemi, widzi różnicę między tem, co z książek nauczono go, a tem, co spotyka na każdym kroku. Pierwotna wiara w nieskazitelność ideałów artyleryjskich zaczyna się w nim chwiać. Jedzie do swoich kuzynów, którzy mieszkają tutaj i spotyka tam ludzi, w niczem niepodobnych do niego, choć przecież z jednego pochodzą oni pnia. Kropla zwątpienia upada po kropli do oficerskiej duszy i żłobi coraz to większe pęknięcia. Pomalutku odnajduje on nici, łączące go z szarym, zagonem, z biedną słomianą strzechą. Ostateczną jednak katastrofę opóźnia miłość, w którą się uwikłał tutaj. Zakochał się w roszjance, córce swego szefa — a więc oddaje Żeromski duszę jego na tortury.

Budzi się świadomość, kim być powinien, a w sercu gra święty hymn miłości. I pyta go raz wraz Tatjana: czemu taki zadumany? Prosi i błaga, by się stał, jak ona, żyjąca tylko szalem i chwilą. Idzie nawet do kościoła i świece ofiarowuje, by go jej zmieniła najwyższa wola. Rozłucki szarpie się i gnębi, torturuje go ten podwójny ogień, w jakim żyje.

Przewycięża on jednak tę swoją ziemską miłość. Pozostaje sam na sam tylko z czujną myślą swoją i w niej szuka dla duszy swojej lekarstwa. Prowadzi go ona pod strzechy zacisznego szlacheckiego domu, doświadcza jego duszy w lesie, gdzie unicy nocą katolickiemu Bogu składają dziękczynienie i modlitwę. W końcu zdobywa on prawdę swoją i ucieka z wojska, uprowadzając więźniów. Dojrzało mu w duszy ziarno, przez pradziadów w polską jego krew zasiane. Stał się, kim był i kim być powinien. Wrócił do narodu, który go wydał i z tym narodem rozpoczyna mękę i niedolę. Uczy się też marzeń naszych, wierzy w wynalazek który ma wyzwoleć nas. Buduje aeroplany i wyciąga ręce do Pomorza...

Jak widzimy ostatnia powieść Żeromskiego jest historją odrodzenia pewnej duszy, którą nazwał on Rozłuckim. Indywidualny jednak dramat Rozłuckiego możnaby uogólnić. Takie męki przeżywa każdy wynarodowiony polak, gdy czuje i wie, gdzie być powinien. Żeromski z okrucieństwem wzył się w tę zruszczoną duszę, pokazał wszystkie włókna jej krwawiącego wnętrza, przeprowadził ją przez piekło doświadczeń najtragiczniejszych, bo wplątał ją w płomienne, błędne koło miłości.

Pierwszy tom zawiera ten poemat miłosny, a tylko pod tem nawarstwieniem płoną coraz jaśniejsze ognie buntu i żądzy wyzwolenia. Z artyleryjską wiarą łączy go wychowanie, karjera, wreszcie miłość, jak bajka promienna. Do szarego zagonu wołają go kości ojca, gnijące na leśnej polanie i ten w krwi żyjący instynkt. Szamocze się on, lecz pieśń miłości przygłusza wszystkie krzyki sumienia. Pozornie więc sądząc, możnaby uczynić zarzut Żeromskiemu, że w tym tomie zbyt mało pokazał „Urody życia“, a zbyt wiele miłości Rozłuckiego. Pewno znajdują się tacy, którzy czynią z tego przesunięcia punktu ciężkości zarzut w kompozycji artystycznej. Otóż tego rodzaju interpretację uważam za błędną.

Byłoby to wielkie uproszczenie tematu, gdyby Żeromski uczynił z tej miłości Tatjany tylko epizodzik. Dusza Rozłuckiego nie byłaby w zupełności doświadczona. Mierzyłyby się ze sobą

wielkości niespółmierne. A tak mamy dramat dwóch potęg: miłości i rosnącej świadomości — sumienia narodowościowego.

W drugim tomie daje nam Żeromski Rozłuckiego, który przeszedł przez miłość dla kobiety szuka ciszy i skupienia dla jego sumienia.

Po I-ym tomie ten tom wydaje się słabszy. Jest to jednak pozorne. Daje ten tom tylko inny rodzaj wzruszeń. Po fanfarach miłości zaczyna się cicha, uciążliwa praca nad ostateczną formułą sumienia. Rozłucki szuka w sobie fundamentu i to szukanie jest jedynym motywem drugiego tomu. W pierwszym zmagaly się ze sobą potęgi, w drugim znajdujemy twórczość na zgłiszczach. Buduje Rozłucki siedzibę dla własnego ducha i cud tego budownictwa tem jest piękniejszy, że jest taki cichy. Bez głośnych słów odbywa się cyklopowy trud metamorfozy ostatecznej.

Sądźmy, że powieść ta znajdzie wielu czytelników. Wszystkich nas bowiem wiąże z ziemią rodzinną ta cicha, wytrwała praca.

„Uroda życia“ w tym drugim tomie pokazuje, gdzie leży myśl zasadnicza Żeromskiego. W promieniu tej drugiej książki, pierwsza staje się jaśniejszą; rozumiemy, czemu musiał autor nadać tak olbrzymie kształty miłosnej fanfarze. Co do techniki struktury powieściowej, Żeromski w „Urodzie życia“ stał się zwarty; niema w niej stronic niepotrzebnych, ani rozwlekłych. Czyta się tę powieść z zapartym oddechem. Niektóre sceny pozostają na długo w pamięci. Ludzie, pokazani tutaj, urastają też do potęgi typów-symboli. Tak, jak Pochroń, który przeszedł już do gwary codziennej, przejdą napewno postacie Rozłuckiego, Tatjany, księdza Wolskiego. Język przytem rzadko spotykany, pulsujący krwią.

„Uroda życia“ stanie się zapewne tematem do różnych debatów i polemik. Wywoła zwykłą w stosunku do Żeromskiego naganę sfer klerykalnych i endeckich. Chcę więc przypomnieć im, że wyrasta ona z całowiekowej naszej niedoli, że na treść jej złożyły się upokorzenia całego stulecia. Żeromski znalazł dla nich lekarstwo; sromotę przewyciężył wiarą w gienjusz ludzki, w wynalazek, nauczył nas tęsknoty do budzącego się Pomorza. Kto więc chce debatować nad jego powomysłnością — niech zmierzy się ze stuletnią naszą niedolą, z czuwającą świadomością i troską, która pragnie tą niedolę precz wyrzucić.

Świadomość bowiem już sama jest synonimem wolności. Kto ją hoduje i krzewi — ten hoduje wolność. Chodzi tylko o to, by „zaprzysiąc sobie poznanie siebie“.

Eustachy Czekalski.

PRASA POLSKA.

— Kłeska Koła Polskiego w Wiedniu odezwiała się głośnym echem w pewnym odłamie prasy warszawskiej. Na alarm bije przedewszystkiem organ centralny Demokracji Narodowej.

„Zatarg — pisze „Gazeta Warszawska“ — Koła Polskiego w Wiedniu z rządem na tle znanego wystąpienia bar. Heinolda zakończył się w sposób, świadczący

o ogromnem umniejszeniu znaczenia i wpływu naszej reprezentacji w państwie austriackim. To powinno bardzo dać do myślenia naszym kołom politycznym, skłonić je do głębszego wejrzenia w położenie dzisiejsze i sumiennej oceny zmian, jakie w niem nastąpiły“.

Po takim wstępie, zdawałoby się, „Gazeta“ zalec: przedewszystkiem ścisłą rewizję polityki narodowo-demokratycznej. Jej bowiem jest dziełem kierunek bezwzględnie antyrusiński, któremu zdawna już polskie żywiły postępowe przepowiadały *fiasco*. Wystąpienie Heinolda było bezpośrednio następstwem demagogicznej i wicherzcielskiej roboty wszechpolaków, agitujących przeciw uniwersytetowi rusińskiemu, który ostatecznie jednak powstać musi. Kto się opiera *konieczności*, winien liczyć się z konsekwencją tego — t. j. przegraną. I gdyby przegrana ta nie nastąpiła dziś, toby nastąpiła jutro. Koło przegrało dlatego, że ulękło się demagogji wszechpolaków.

„Gazeta Warszawska“ woli jednak gdzieindziej szukać winowajców. Rzecz prosta — szuka ich pośród przeciwników Nar. Demokracji.

Gdy ją postanowiono zgnieść,

„sprawę tę wzięli w ręce tacy „politycy polscy“, jak p. Biliński, na których widok trzeba moeno żałować, że wymarli dawni stańczycy. Tamci byli ludźmi jednostronnymi, zbyt zapatrzonymi w znaczenie, jakie daje stosunek do korony, a lekceważącymi organizację sił politycznych kraju, ludźmi, nie rozumiejącymi często najdonioślejszych potrzeb dzisiejszego życia narodowego, ale byli politykami, którymi kierowała myśl o sprawie polskiej i poczucie obowiązku służenia tej sprawie. Mieli oni wiele przesądów szkodliwych, ale z tymi przesądami byli lepsi od ludzi, którzy nie mają żadnych przesądów. Dziś na widnokręgu galicyjskim zjawiają się politycy, którzy służą widokom austriackim wbrew interesom polskim“.

W rezultacie „Gazeta Warszawska“ wyraża zdziwienie, że prasa polska słabo reaguje na alarmy organów endeckich.

Najmocniej wziął je do serca sensacji żądny „Dzień“, który widzi już wyraźnie,

„że Austrja wkracza na drogę, która myśl polską zastanowić powinna do głębi, bo oto szykują się kroki, które mają polaków galicyjskich utopić w morzu rozszerzyć się mającej Ukrainy“.

„Dzień“ ma wszakże chwilę zastanowienia, która wyraźnie odróżnia go od prasy nar.-demokratycznej.

„Odkąd rusini — pisze p. Stefan Gorski — powiedzieli sobie, że są narodem odrębnym, a w myśl słów Napoleona III, każdy naród ma stanowić o swojej samoistności, odkąd rusini stworzyli własną swoją prasę, wyrabiają język literacki, nie możemy i nie mamy prawa stawiać im w Galicji przeszkód do kulturalnego rozwoju i chętniejby widział, aby polacy przyznawali rusinom ich prawa nie pod przymusem, ale z dobrej rozumnej woli“.

Ostatecznie p. Stefan Gorski uważa, że ponieważ „umizgi austriackie do rusinów idą w parze z gorączkowemi zbrojeniami“, orjentacja polityki rosyjskiej powinna wzbudzić żywą refleksję“.

„Jedyną odpowiedź, jaką powinnaby mieć do dnia Rosja Austrii — nawiązać przyjazne stosunki z polakami“.

Że zaś zwrotu w tym kierunku nie widać, „Dzień“ wyraża zdumienie:

„Nie możemy — pisze — zrozumieć krótkowzroczności przedstawicieli narodu rosyjskiego, nie możemy pojąć, jak niedaleko sięga perspektywa polityczna Ro-

sj, która dokłada wszelkich starań, aby stosunki polsko-rosyjskie stawały się coraz gorsze, w warunkach nadomiar tak ważnych, jakie zarysowują się na horyzoncie obecnego stanu politycznego najbliższych sąsiadów Rosji“.

Wprawdzie ma słuszność autor tych słów, mówiąc o krótkowzroczności polityki rosyjskiej, ale owe krótkowidztwo zdaje się być oną belką, dostrzeganą wszędzie, jeno nie we własnym oku.

Głosy rosyjskie.

Rewelacje Mieńskiego.

„Nowoje Wremia“, zachwycone w pierwszej chwili *patryjotyzmem* Koła Polskiego, które głosowało za 500 miljonami na budowę floty bałtyckiej, prędko z drogi tej zawróciło. W piśmie tem siedzi przecież nie darmo p. Mieński, który szczerze musi, bo z czegożby żył? Więc nie przestaje on podejrzliwie spoglądać na Danaów, nawet gdy Danaowie ci dary przynoszą.

Nie bacząc więc na to, że „Now. Wr.“ popierało projekt kredytu, p. Mieński uchwale potępia. Nieuniknionym skutkiem odbudowanej floty musi być, jego zdaniem, powiększenie floty niemieckiej i angielskiej — a to wszystko skończyć się może wojną europejską. P. Mieński nie sądzi, żeby Niemcy wdały się bezpośrednio w wojnę z Rosją. Utworzą jednak przeciw niej koalicję z Austro-Węgiel, Rumunji i Turcji. Rumunów przyjmą z otwartemi rękami w Besarabji, turków na Kaukazie, na austriaków zaś czekają tylko polacy, żydzi i ukraińcy.

„Powiedzą — pisze p. Mieński — że polacy są teraz lojalni. Razem z tatarami głosowali za budową floty zaczepnej na Bałtyku. Ale właśnie to, że się przyłączyli do tej uchwały, świadczy znów według mnie, jak uchwała była ryzykowna. Obserwując nastroje nacjonalistów polskich, nie mogę w żaden sposób uwierzyć w to, żeby rzeczywiście pragnęli wzrostu potęgi państwowej Rosji. Nie potęgą naszego cesarstwa, ale jej zniszczenie — oto dewiza nacjonalizmów ino-rodznych wogóle, a polskiego zwłaszcza. Głosując za tak niemłą rzeczą dla Niemiec, jak utworzenie na jej tyłach silnej floty, polacy — jestem tego pewien — umyślnie grają na przyspieszenie wybuchu wojny, która teraz właśnie jest dla nas bardzo niebezpieczna“.

Czyżby rzeczywiście — wtrąca słusznie „Goniec“ warszawski — p. Mieński uważał naszych „polityków“ dumskich za zdolnych do podobnie subtelnej kombinacji? Jest chyba na to za inteligentny i za dobrze zna tych naszych „przedstawicieli narodu“.

O wojnie z Austrią pisze dalej p. Mienszиков, co następuje.

„Po stłumieniu niedawnego ruchu socjalistycznego w Polsce, tam — jak mówi pewien memoriał urzędowy — „powstał bardzo silny ruch nacjonalistyczny, podsycany z Galicji, a może nawet z samego Wiednia. Na podstawie całego szeregu danych, w kraju Południowo-Zachodnim panuje zupełne przekonanie, że Austrja wypowie nam wojnę zaraz po zgonie sędziwego cesarza Franciszka-Józefa. Przekonanie to istnieje także

z drugiej strony granicy, o czem świadczą uczestnicy deputacji pułku Keksholmskiego, która jeździła niedawno do Wiednia, aby powinszować cesarzowi 60-lecia jego szefostwa w tym pułku. Delegowani do towarzyszenia deputacji, oficerowie austriacy wprost jej mówili, że wojna pomiędzy Austrią i Rosją zacznie się zaraz po wstąpieniu na tron arcyksięcia Franciszka-Ferdynanda, gorliwego katolika, nienawidzącego Rosji, który jakoby pragnie podbić sąsiadujące z Austrią gubernje rosyjskie“.

Dalszy ciąg artykułu p. Mieńszikowa może pod względem fantastyczności rywalizować z oskarżeniem o machjowelizm naszych „pocziwych“ posłów dumskich.

„Rewelacje oficerów austriackich znajdują poważne potwierdzenie w pewnych faktach na naszym terytorjum. Najbardziej wpływowi obywatele wołyńscy, z hrabią P. na czele, przyłączyli się do polskiego „Związku obrony kresów“, który widocznie jest oddziałem „Ligi niepodległości Polski“, mającej na celu przygotowanie trzeciego powstania polskiego w chwili wybuchu wojny z Austrią. Do tego „Związku“ należy wielu dzierżawców, administratorów dóbr magnatów polskich, księży i wybitniejsi przedstawiciele szlachty. „Związkowi“ już od lat kilkunastu biorą do siebie na praktykantów uczniów szkół leśnych austriackich, którymi w ich praktyce kieruje sztab austriacki. Głównem zadaniem praktykantów było robienie planów majątków polskich. Tym sposobem potrafili zrobić taką mapę pasa pogranicznego, jakiej my sami nie mamy. Mapa taka uczyni każdą osłoniętą pozycję naszej artylerji odsłoniętą dla austriaków. Wszystko to wykryło się podczas rewizji w majątkach Dunina-Karwackiego i księcia Radziwiłła, którego administratora i czterech uczniów austriaków aresztowano“. „Co jest w tem najpikantniejsze, to to, że kierownikiem i opiekunem szpiegostwa austriackiego jest pewien bogaty hrabia polski, który ma tytuł koniuszego Dworu Najwyższego. A jednak — dodaje memorał — nietylko policja ogólna, ale nawet żandarmska nie może się zdecydować na zrobienie rewizji nietylko u niego, ale nawet u obywateli mniej wpływowych“. „Ten sam lojalny hrabia utrzymuje znaczne oddziały straży leśnej i ogniowej, pełne Polaków austriackich. Są to kadry przyszłych oddziałów powstańczych, których zadaniem będzie przeszkadzanie mobilizacji i koncentracji naszej armji. Istnieje mapa punktów, na których mają się zebrać te oddziały...“

Jeżeli mapa ta jest tak prawdziwa, jak machjowelizm naszych posłów i rewolucyjność hrabiów polskich — to, sądzimy, Rosja może spać spokojnie.

NA WIDNOKRĘGU.

Paryski korespondent „Nowej Gazety“ zdaje sprawę ze wstępnych obrad I kongresu narodów, o których inne dzienniki polskie prawie żadnych nie mają wiadomości.

Oto, co pisze „Nowa Gazeta“:

Dnia 22 i 23 b. m. (n. st.) odbyły się w „Ecole des Hautes Etudes Sociales“ wstępne narady pierwszego kongresu narodowości, przy udziale przedstawicieli około 20 krajów.

Prezydjum objął deputowany, Paweł Painlevé, członek Instytutu, mając obok siebie Emila Arnauda, prezesa międzynarodowej Ligi pokoju, Karola Seignobosa, profesora Sorbony, d-ra Brodę, dyrektora pisma „Les documents du Progrés“, znaną feministkę, Lidję Pisarzowską, oraz pp.: Jana Pelissière'a i J. Gabrysa, inicjatorów i organizatorów kongresu.

Oficjalnie reprezentowane były Chiny, Bułgarja, Serbja, Persja, Indje, republika Saint-Domingo, Armenja. Nadto reprezentantów nadesłali: czesi, słowacy, katalończycy kroaci, finlandczycy, litwini i ukraińcy.

Na sali zauważyliśmy znaczny zastęp wybitnych profesorów, polityków i działaczy paryskich oraz redaktorów działów polityki zagranicznej miejscowych pism.

Z Polaków byli: p. Kazimierz Woźnicki, kierownik biura prasowo-informacyjnego; Stanisław Posner; dr. Henryk Gierszyński z żoną; p. Orka, oraz kilku korespondentów pism polskich.

Zebranych powitał dep. Painlevé. Oto pokrótce treść jego przemówienia:

Witam tych wszystkich śmiałych ludzi, którzy w tym czasie, gdy sławienie gwałtu stało się modą, gdy Europa zajęta jest militarystem, nie obawiali się zorganizować dla proklamowania praw narodowych.

Dzięki pacyfistom, istnieje już obok oficjalnej dyplomacji, myślącej zbyt często o wojnie, poufna dyplomacja, która stale pracuje dla pokoju. Przyznać jednak musimy, że akcja tej ostatniej ogranicza się pewnym gronem wybranych ludzi. Z tego właśnie względu, sądziliśmy, że jest jeszcze miejsce dla instytucji, która odwołałaby się do mas; wpajając w duszę demokracji uczucie solidarności wszystkich narodów, uczyni je ona równie powszechnem, jak zwykłą moralność. Pragniemy obudzić u wszystkich bez wyjątku narodów sumienie. Pragniemy zbudzić opinię europejską do tego stopnia, aby samo zapowiedzenie niesprawiedliwości wywołało bunt w duszach wszystkich narodów. Dotąd zamachy na prawa ludów dokonywane były w ciemnościach.

Zastanowiwszy się nad rolą Francji w tej sprawie mówca tak kończy:

„Musimy porozumieć się co do warunków pokoju, który pragniemy osiągnąć. Nie może on opierać się na tryumfie ucisku, nie może być on zapewniony milczeniem zwyciężonych. Pokój, dla którego pracujemy musi być taki, aby wszystkie narody pozostały w nim nietknięte, aby wszystkie ambicje narodowe były nasycone“.

Następnie zabrał głos sekretarz gieneryalny, Jan Pelissière, który odczytał długi szereg listów i depesz: od 5 francuskich ministrów, od znacznej liczby deputowanych, od prezesa paryskiej Rady miejskiej, od ambasady niderlandzkiej w Paryżu etc. etc.

Listy sympatji i zachęty nadesłali: ambasada brazylijska w Paryżu, Leo Mechelin, b. prezes senatu finlandzkiego, senator portugalski Magalhaes Lima, deputowany szwajcarski Gobart, dyrektor międzynarodowego Biura w Bernie, Siguard Ibsen, b. minister w Chrystjanji, Józef Fort, b. czeski minister, Cherif Pasza, L. Herbette, prezes „Alliance Française“, prof. H. Lichtenberger etc. etc.

Obecny był reprezentant bułgarskiego ministra oświaty.

Sekretarjat otrzymał zapewnienie, że Chiny, i Finlandja przystąpią do związku.

Telegram czeskiej Rady Narodowej uważany

jest za zapowiedź oficjalnego przystąpienia Czechów do związku.

W dalszym ciągu p. Pelissière mówił o zaczątkach ruchu i o jego zasadniczych podstawach:

„Pragniemy złączyć wszystkie narody w jeden związek moralny, w którym każdy naród posiadać winien swą autonomję“.

Z ankiety, którą mówca osobiście przeprowadził u wybitnych osób politycznych, wynika, że podobny związek jest bardzo pożądany. Na program jego zgodzić się mogą wszyscy ludzie dobrej woli.

Uchwalono: 1) wezwać członków patronujących do zakładania sekcji narodowych; 2) przesłać wyrazy sympatii a) bratniemu Związkowi „Pan-amerykańskiemu“ oraz b) wszystkim narodom słowiańskim, zgromadzonym na zjeździe w Pradze.

Następnie przemawiał p. Emil Arnaud, który podkreślił, że aczkolwiek rządy tego nie spostrzegają, międzynarodowy ruch solidaryzmu czyni wielkie postępy. Wita on kongres w imieniu międzynarodowego Biura pokoju w Bernie. Pacyfiści witają nowy ruch, gdyż pragnie on urzeczywistnić jedną z ich nadziei.

Na popołudniowym posiedzeniu szereg mówców, przemawiających w imieniu poszczególnych stowarzyszeń, lub organizacji, zaświadczał o swym przystąpieniu do akcji.

Zabierali głos: Paweł Nord, w imieniu „Union eclectique universaliste“; Carro, w imieniu międzynarodowej organizacji Stow. pozytywistów; dr. Broda, w imieniu „Międzynarodowego Instytutu dla doświadczeń społecznych“ oraz dwóch mniejszości radykalno-socjalistycznych obu cesarstw germańskich; p. Jerzy Bienaimé, jako prezes „Association franco-slave“. Nader czynny członek „Union et Progrès“, p. Santo Sémo bey oraz wybitny publicysta, Cheradame, zaświadczały sympatię i uznanie.

W końcu przemawiała znana pacyfistka, Lidja Pisarzewska, oraz szereg mówców esperantystów.

Następnie głos zabierali przedstawiciele poszczególnych narodów, ograniczając się do krótkich deklaracji.

Składali je delegaci: rusinów, Czechów, Litwinów, Bułgarów, Serbów, Katalończyków, Finlandczyków, Indusów (znana działaczka Cama). Nadto przemawiał delegat republiki Saint-Domingo. Z Polaków przemawiał dr. Henryk Gierszyński, którego mowa była silnie oklaskiwana i wywarła wielkie wrażenie.

Wieczorem tegoż dnia odbył się koncert i przyjęcie. W drugim dniu obrad radzono nad środkami propagandy, przyczem wygłoszono kilka referatów na ten temat.

Uchwalono następny kongres odbyć w Paryżu, w maju roku przyszłego.

Wreszcie przyjęto bez zmian statut „Związku Narodów“, którego siedzibą jest Paryż. Będzie on: 1) zbierał etnograficzne, historyczne, literackie etc. dokumenty, mogące scharakteryzować duszę, przeszłość i przyszłość poszczególnych narodów; 2) wydawać miesięcznik, który zapoznawać będzie szerszą publiczność z wysiłkami ku lepszemu jutru i postępami narodowości, należących do tego Biura; 3) komunikować prasie wszystkie nowiny, interesujące te narodowości; 4) dostarczać środków do wzajemnego poznania się narodowości; 5) przeprowadzać porozumienie wśród spraw różnych narodów, wymagających ich wspólnej i jednomyśl-

nej akcji; 6) przyczyniać się do postępu powszechnego pokoju oraz do organizacji europejskiej i wszechświatowej federacji.

Oprócz komitetu patronującego, związek posiadać będzie stałą komisję, biuro centralne, sekcje narodowe, komitety propagandy i delegatów.

Kierunek ogólny związku powierzony jest stałej komisji, w której reprezentowane będą wszystkie sekcje narodowe przez swego prezesa i sekretarza, lub ich zastępców. Komisja zbiera się raz na rok i obiera komitet wykonawczy, kierujący biurem, które składać się będzie z 3 osób, wybranych na 3 lata.

Związek składa się z sekcji narodowych i okręgowych, które tworzyć będą członkowie związku.

W krajach, w których istnieć będzie kilka sekcji obierają one centralny komitet krajowy.

Na tem, wstępne obrady I kongresu narodowości, zostały zakończone.

Wyjaśnić należy, że w tym czasie miał się odbyć właściwy kongres. Na żądanie jednak przedstawicieli kilku narodów odłożono go do roku przyszłego.

Aby jednak ułatwić mu zadanie, porozumieć się wzajemnie i zawiązać bliższe stosunki, odbyto właśnie powyższe, dwudniowe obrady.

KRONIKA.

== Wystawa „Kobieta polska“.

W Pradze otwarta została dnia 31 (18) czerwca wystawa: „Kobieta polska“, zorganizowana przez cztery komitety: poznański, krakowski, warszawski i lwowski.

Sądząc ze sprawozdań, perfumami pisanych, nie jest to wystawa pracy *kobiety* polskiej, ale raczej zjazd i pokaz *dam* ze trzech zaborów.

== Samorząd.

Ostatecznie zostało wyjaśnione, że projekt samorządu miejskiego w Królestwie Polskiem nie będzie na sesji bieżącej przez Radę Państwa rozprawiany.

== Przeciw nieproszonym opiekunom.

Członek austriackiej Rady Państwa, bar. Wassilko, domniemany kandydat na rusińskiego ministra-rodaka, umieścił w „Neue Freie Presse“ artykuł, w którym reaguje na manifest członków rosyjskiej Dumy Państwowej. Manifest ten stał w obronie uciskanych w Galicji Rosjan i prawosławia. Autor zaznacza, że w Galicji Rosjan wcale nie ma.

== Ugoda.

Wychodzące w Kijowie „Poslednija Nowosti“ umieściły następującą notatkę.

„W ostatnich czasach społeczeństwo polskie tak w Kijowie, jak również na prowincji przeżywa dość poważne przesilenie, które może doprowadzić do zupełnego rozbitcia występującej dotąd dość solidarnie inteligencji polskiej. Właściwie pewien rozłam istniał już dawno. Dość liczna i silna, materialnie grupa „ugodowców“ zaznaczała i wcześniej swe istnienie, lecz usiłowania tej grupy, zjednoczenia się i stworzenia realnej siły politycznej, stałe odnosiły porażkę. Obecnie dano nowe hasło — jak najdalej od szerszej polityki, jak najmniej wtrącania się do życia ogólnopaństwowego.

„Twórcy nowego kierunku mniemają, że w warunkach współczesnych wszelkie wystąpienia czynne Polaków w obronie swych praw politycznych i narodowych przyprawiają społeczeństwo polskie o straty.

„Dlatego też jaknajdalej od takich wystąpień. Pogodzić się z rzeczywistością, gromadzić siły materialne i unikać wszystkiego, co może przeszkadzać tej akcji.

„W celu propagowania tych poglądów, powstaje w Kijowie organ specjalny, materialnie poparty przez pewnego

wybitnego obywatela ziemskiego z Podola. Pismo to powinno służyć za przeciwwagę „Dziennikowi Kijowskiemu“, uważanemu przez „ugodowców“ za zbyt radykalny.

„Podczas przyszłych wyborów grupa „ugodowców“ ma zamiar wystąpić samodzielnie.“

— Nowa próba.

Przed tygodniem wyszedł w Wilnie № 1 nowego tygodnika w języku rosyjskim, którego redaktorem jest p. Bowdziej, a wydawcą — p. Koronkiewicz. Pismo narazie ma być tygodnikiem, a później — dziennikiem; będzie organem „Tow. Białoruskiego“.

— Młodzież krakowska wobec przyjęcia arcyksięcia.

Komitet obywatelski, zorganizowany w celu przyjęcia w Krakowie arcyksięcia Karola Franciszka Józefa, wezwał młodzież akademicką do utworzenia straży podczas uroczystości i w tym celu rozesłał zaproszenia na wtorkowe posiedzenie komitetu do wszystkich towarzystw akademickich. Znaczna część studentów zaproszenia odesłała; delegaci jednak kilku organizacji udali się na posiedzenie komitetu, aby wyjaśnić swoje stanowisko. Gdy przewodniczący otworzył zebranie, wówczas przedstawiciel młodzieży, zgrupowanej w Stow. „Promień“, oraz reprezentanci „Zjednoczenia“ i kółek naukowych złożyli oświadczenia, w których wyjaśnili, iż w tego rodzaju uroczystościach nie będą uczestniczyli i że zastępować się na przyszłość przeciw podobnym propozycjom. Przewodniczący komitetu, dr. Schneider, i sekretarz, p. Kubalski, tłumaczyli się z tego kroku i przeprosili młodzież akademicką. Następnie młodzież opuściła posiedzenie.

— Przeciwno zjazdowi w Pradze.

Uchwała wydziału związku dziennikarzy polskich we Lwowie przeciwko uczestnictwu w zjeździe praskim brzmi, jak następuje:

Wydział uchwała:

1) Ze względów politycznych i narodowych nie wysyłać delegatów prasy polskiej na zjazd dziennikarzy słowiańskich i uroczystości praskie.

2) Wydział związku dziennikarzy polskich po wysłuchaniu opinii wszystkich organizacji dziennikarskich, należących do Związku — nabrał przekonania, że także poszczególne organizacje dziennikarskie w danych warunkach i z powyżej przytoczonych motywów winny się wstrzymać od udziału w zjeździe dziennikarzy słowiańskich w Pradze i nie wysyłać na ten zjazd swoich delegatów.

3) Wszelki inny udział dziennikarzy polskich z poza organizacji dziennikarskich, będzie uważany za wyłamanie się z solidarności koleżeńkiej wbrew uchwale ostatniego zjazdu dziennikarzy polskich, odbytego w marcu r. b. w Krakowie.

— Ograniczenie żydów.

Senat wyjaśnił, że żydzi, korzystający z prawa warunkowego zamieszkiwania na zasadzie 3 p. Najwyższego rozkazu z 21 lipca 1893 r. i rozporządzenia byłych ministrów spraw wewnętrznych z roku 1904 i 1907, jak również i żydzi, korzystający z prawa zamieszkiwania poza granicami osiadłości na podstawie swojej specjalności lub rzemiosła — nie mogą brać udziału w wyborach państwowych.

— Aresztowanie oficerów rosyjskich.

Dnia 13 (26) czerwca aresztowano w Düsseldorfie rosyjskiego pułkownika, Nikolskiego. Są poszlaki, że Nikolski, zatrudniony jako korespondent jednej z fabryk metalowych, był w ścisłych stosunkach z kapitanem Koscewiczem, aresztowanym za szpiegostwo.

— Posłuchanie w Carskim Siole.

Mowa, którą wygłosił Najjaśniejszy Pan do postów na posłuchaniu w d. 8 b. m. brzmiała następująco:

„W ciągu 5 lat uważnie śledziłem za przebiegiem prac Dumy Państwowej i nie ukrywam przed wami, że niektóre sprawy zostały rozstrzygnięte nie w tym duchu, który uważałbym za pożądanym. Uważam, iż dyskusja nie zawsze miała spokojny przebieg, a dla sprawy najważniejszym jest spokój.

Z drugiej strony rad jestem, iż mogę stwierdzić, że włożyliście wiele pracy w rozstrzygnięcie najważniejszych, zdaniem Mojem, spraw, jak mianowicie: urządzenie rolne włościan, ubezpieczenie rodzin robotniczych, oświata ludowa i obrona państwa.

Wezorajsze głosowanie o wyznaczeniu znacznych kredytów na dalszą budowę floty sprawiło Mi prawdziwą przyjemność.

Uważam za pożądanym zwrócić uwagę na pierwszym miejscu na Mój spadek duchowy po gorąco umiłowanym — Rodzicu — szkole cerkiewno-parafjalnej.

Życzę wam szczęśliwego powrotu do domów, a tym, którzy powrócą do IV Dumy, spokojnej i owocnej pracy na radość dla Mnie i z korzyścią dla drogiej Rosji.

Do widzenia panom.“

Z gub. wileńskiej byli posłowie prawicowi: pop Wieraksin i Zamysłowski, oraz poseł Święciecki i Clunajtis. („Kurjer Litewski“).

Sprostowanie.

W artykule „Teatr letni“ (№ 25 „Przeglądu“) prostujemy następujące błędy:

Str. 11, szp. 1, wiersz 8 — zamiast „dyskusja“, czytaj *dyrekcja*.
 „ „ „ 2. „ 21 — „ „jednodniówka“, czytaj *jednoaktówka*.

Wreszcie ustęp, poczynawszy od wiersza 47 (str. 11, szp. 2) brzmieć winien tak: „A przecież dzieło sztuki powinno być soczewką; nie na nie się właściwie patrzy, ale *przez* nie — w życie, które zyskuje na wyrazistości“.

O F I A R Y

nadesłane do Redakcji.

Ku uczczeniu pamięci Bolesława Prusa.

p. Cywiński 2 ruble.

p. Czyżówna 1 rb.

pp. Pożaryscy 1 rb.

Treść numeru.

Na fałszywych drogach — **

O przyszłość Rapperswilu — S. P.

Socjalizm naukowy i utopijny. — B. Limanowskiego.

Po wyborach belgijskich. — St. Posnera.

Książka (wiersz) — M. C. Bieleckiego.

Szkoła ogrodnicza w Leoniszkach — Bajorasa.

Korespondencje — Leszka Czarnego.

Uroda życia — E. Czekalskiego.

Prasa polska.

Głosy rosyjskie.

Kronika.

Sprostowanie.

Ofiary.

Odcinek: „Pocałunek“ — H. Scipio.

Żądajcie wszędzie „ODOBRIN“

tylko MICHAŁA LEBIEDIEWA.

Tępi odciski



i brodawki z korzeniem

Informator Handlowy.

BIURO PRZEPISYWAŃ
A. Skarzyńskiej

Wilno, Tatarska 12. Telefon 1002.
POŚPIECH I DOKŁADNOŚĆ.

SZEW C

T. KRZYŻANOWSKI

Wilno, Bonifraterska (Preobraż.) № 8.
Obuwie gotowe i na obstalunek.

St. Stefanowski

i **J. Marciniak**

Pracownia kostjumów, okryć oraz futer
damskich

Wilno, ulica Wielka № 20a.

KSIĘGARNIA

KULTURA Wilno,
Dominikańska 14.

PRENUMERATA PISM.

Wszelkie nowości.

TRYPPER HONORRHEE, RZEŻĄCZKĘ i UPŁAWY
w OSTRYM i CHRONICZNYM OKRESIE

szybko i radykalnie usuwa całkiem nieszkodliwy środek (dla użytku
wewnętrznego)

„TIELERIN“

Doktora medycyny uniwersytetu genewskiego E. Gorochofskiej

Cena zwykłej flaszki (na 10 dni)—1 rb. 75 k. i podwójnej —3 rb. bez przesyłki.

Szczegółowy przepis przy flaszce. Ekspedycja za zaliczeniem pocztowym.

Adres: Д-ру мед. Э. М. Гороховской, Москва, Сретенка, Даевъ пер. б. 1-28, кв. 3.

Przynęta „Rybolin“ Niezbędny środek dla skutecznego połowu ryb.

Korzystając z „Rybolinu“ nie trzeba wysiadywać godzinami dopóki ryba przypadkowo natknie się na przynętę. „Rybolin“ jako domieszka do przynęty wydaje na daleką przestrzeń woń ulubioną przez ryby. Ryba zbliża się mimowoli i chwytą za przynętę. Duży flakon „Rybolinu“ z przesyłką i opakowaniem 1 rub. 50 k. Do Rosji Azjatyckiej dodatkowy koszt przesyłki podług taksy.

Przynęta „Rybolin“ znajduje się w sprzedaży już od dziesięciu lat i używana jest przez wszystkich moskiewskich miłośników rybołówstwa.

Skład główny „Rybolinu“ dla całej Rosji u wynalazcy J. Głazunowa.
Moskwa, Stołesznikow № 8.

Gwarancja absolutnej nieszkodliwości „Rybolinu“ jako przynęty. Katalog przyrządów do rybołówstwa z wzor. wysyła skład główny po otrzymaniu marki 7 kop.

WACŁAWA GRUBIŃSKIEGO

Pocałunek — utwory powieściowe (wydanie drugie) —
1 rb. 60 kop.

Moc kamienna — nowele — 1 rb. 20 kop.

Bunt — nowele (wydanie drugie) — 1 rub.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

**Dostępna dla każdego możność
zakupienia działki gruntu**

w najlepszej dzielnicy Wilna, w „Zwierzyńcu“. Miejscowość ładna i zdrowa: stary las sosnowy, rzeka Wilja. Ceny niskie, warunki dogodny na raty długoterminowe. Szczególniej dogodne i tanie są działki gruntu nad rzeką.

Zwracać się należy do biura parcelacyjnego: Wilno „Zwierzyniec“. Ul. Giedyminińska 32. Telefon № 46.

Dziennik Petersburski Organ kolonji polskich
w Cesarstwie Rosyjskiem

Bezpartyjna, polityczna, społeczna literacka i naukowa gazeta codzienna

TRZECI ROK WYDAWNICTWA.

We wszystkich ogniskach życia polskiego: Warszawie, Krakowie, Lwowie, Poznaniu, Wilnie, Kijowie, jakoteż w ważniejszych miastach Cesarstwa „Dziennik Petersburski“ posiada własnych korespondentów.

Wydawca: A. Babiński.

Redaktor: Z. Kmita.

Sekretarz Redakcji: St. Grostern.

Prenumerata wynosi w Petersburgu: rocznie 6 rb., półr. 3 rb., kwart. 1 rb. k, mies. 50 k. Numer pojedynczy 2 k. — na prowincji 3 kop. W Cesarstwie, rocznie 8 rb., półr. 4 rb., kwart. 2 rb. Zagranicą — rocznie 12 rb.

Adres redakcji i administracji: Petersburg, Włodzimierski prospekt 13.